Nr 12. Grudzień 1909. Rok XXVIII.

PRZEDŚWIT



MIESIĘCZNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY
ORGAN POLSKIEJ PARTYI SOCYALISTYCZNEJ

TREŚĆ:

Bankructwo starych haseł. — M. Markowska: Wy... — H. Ławska: Drożyzna współczesna. — St. Z.: Nasi radykali wobec nowych zawikłań. — Wrażenie zjazdu naszego w kraju. — Res: Jeden numer „Przeglądu" Esdeckiego. — St. Os...arz: Najnowszy zwrot w moskalofilstwie rusińskiem. — A. Wroński: Zjazd S. D. partyi Niemiec. — Edw.: Z Międzynarodówki. — Brunon Kostecki: Układ bojowych sił w bitwie.— Bibliografia. — Luźne notatki. — Nekrologi. — Książki nadesłane. — Sprawozdanie rachunkowe Wydziału Zagranicznego P. P. S. — Pokwitowania Wydziału Zagranicznego P. P. S.

KRAKÓW
Z DRUKARNI LUDOWEJ (UL. FILIPA 11).

ckiego, prasa wojskowa austryacka otwarcie mówi o potrzebie wojny, a półurzędowe „St. Pietierburskija Wiedomosti“ puszczają w świat projekt rozbioru Niemiec i Austryi, wreszcie Rosya porozumiewa się z Włochami, zaś Austrya kokietuje wyraźnie z Turcyą i Japonią, przyczem to ostatnie państwo przykłada swą rękę do wykończenia sieci kolei strategicznych i innych przygotowań, mających ułatwić najazd na Syberyę Wschodnią itd. itd., gdyż pomijając już inne, może jeszcze bardziej znamienne rzeczy, jak zalew Galicyi przez rosyjskich szpiegów wojskowych.

Wszystkie te fakty wskazują, że oba państwa antagonistyczne szykują się naprawdę do walki, co zaś może jeszcze ważniejsze, wytwarzają one atmosferę naprężenia, bez której wojna nie jest możliwą. To naprężenie, jak już nadmieniliśmy, przybrało dziś głębsze i poważniejsze rozmiary, niż przed rokiem.

Jakie wnioski w tak zmienionej sytuacyi powinna wysnuć partya socyalistyczna kraju naszego? Oczywiście te same, co i poprzednio, podczas awantury serbskiej. Tak jak wówczas, musimy sobie zdawać sprawę z grozy położenia i gotować się do walki, wskazanej nam przez nasze zasady i potrzeby ludowe, do walki, której cel został wyraźnie sformułowany na ostatnim zjeździe P. P. S. I to właśnie stanowi zdobycz ubiegłych miesięcy, iż kwestya, która niedawno jeszcze dla wielu z pomiędzy nas była otwartą, dziś nie wzbudza już wątpliwości, a przez szeroki ogół towarzyszy w jednakowy sposób rozstrzyganą bywa. Nie potrzebujemy już teraz zastanawiać się, jak to czynili dawniej niektórzy towarzysze, czy w razie wojny nie należałoby rozpocząć powstanie we wszystkich trzech zaborach, czy warto toczyć bój o niepodległość jednego tylko zaboru, czy stworzenie „państwa burżuazyjnego“ jest zadaniem, godnem socyalistów, czy partya socyalistyczna może porozumiewać się, choćby w chwili najwyraźniejszej konieczności, ze stronnictwami lub grupami niesocyalistycznemi itd. Wszystkie te wątpliwości należą do czasów ubiegłych i to bez wątpienia ułatwi nam działanie, gdy przyjdzie nań potrzeba.

Nie będziemy zatem podawali wskazań politycznych, których wymaga sytuacya dzisiejsza. Na jedno pragnęlibyśmy jednak zwrócić uwagę towarzyszy i wszystkich tych, którzy szczerze pragną dobra kraju.

Istnieją w narodzie polskim różne partye polityczne, wyznające różne programy. Jedni wystawiają hasło autonomii takiej, inni owakiej, ci chcą zgody z losem, tamci, jak my — niepodległości. I w życiu codziennem można

się spierać o to, które z powyższych haseł bardziej jest przystosowane do okoliczności, które lepiej odpowiada potrzebom tej czy owej klasy lub grupy społecznej. Tak było zawsze. Otóż dzisiaj podobna dyskusya stała się zupełnie bezcelową. Fakty dnia dzisiejszego i przypuszczalne zdarzenia jutrzejsze — ta właśnie groźba wojny, o której mówimy — wskazują zmianę zasadniczą punktu widzenia przy ocenie programów politycznych wszystkich partyj, działających na naszem terytoryum.

Rzeczywiście, jakież znaczenie będzie miało żądanie autonomii Królestwa Polskiego z chwilą, gdy zostanie ono zalane przez milion walczących z sobą żołnierzy rosyjskich i austryackich, oraz powstańców polskich? Czego wtenczas będą się mogli spodziewać wyznawcy podobnego hasła i jakie praktyczne wskazania zeń wysnują? Zaciągać się do szeregów rosyjskich w nadziei, iż wdzięczny carat po zwycięstwie nad wrogiem da autonomię Polakom? Albo zwalczać carat „w szeregach Rewolucyi Rosyjskiej“, trzymając się przytem kurczowo hasła „jedności i niepodzielności“ Rosyi? Samo sformułowanie tych myśli wystarczy, by wykazać ich brak sensu. I tyczy się to zarówno hasła autonomii, jak wszystkich innych dowcipnych wynalazków, mających okryć strach przed walką o niepodległość. Czy się mówi o autonomii „wąskiej“, czy „szerokiej“, czy o państwie związkowem, lub związku państw, czy też rozwodzi się kto o rozkoszach federalizmu i unii realnej, albo personalnej, czy wreszcie dochodzi do tak bzikowatych koncepcyj, jak konstytuanta wnioskodawcza (bo i to bywało!) — wszystkie te żądania tracą dziś wszelką wartość polityczną, jako hasła walki z rządem rosyjskim.

To też pod programami politycznymi, które dziś przez różne partye są u nas wysuwane, kryje się zupełnie co innego. W rzeczywistości istnieją u nas obecnie tylko dwa kierunki polityczne: są zwolennicy walki rewolucyjnej z rządem rosyjskim, oraz przeciwnicy tej walki. I gdy pierwsi ogniskują się przedewszystkiem w obozie naszym, to do drugich zaliczyć można i narodowych demokratów i ugodowców i „socyaldemokratów“ i szczątki innych grup, dawnych partyj socyalistycznych, słowem, prawdziwą „jedną reakcyjną masę“.

Z chwilą rozpoczęcia się wojny, walka rewolucyjna tylko pod jednem hasłem prowadzona być może u nas, a to pod hasłem oderwania się od Rosyi. Podczas rewolucyi listopadowej, niektórzy doktrynerzy wyobrażali

sobie, że to „konstytucyjny król polski Mikołaj“ wojnę prowadzi z „despotycznym carem Mikołajem“ i że będą oni mogli, ogłosiwszy wojnę, uważać się jednak za poddanych cara. Rzeczywistość gorzko ukarała ich za to. W podobnem położeniu znaleźliby się ci, którzyby podczas wojny chcieli lud rewolucyonizować w imię jakichkolwiek żądań, nie zawierających w sobie stwierdzenia potrzeby oddzielenia prowincyj polskich od państwa carów. Z tą różnicą, że za czasów Lelewela istniał rząd polski i wojsko polskie, czyli gotowy aparat, mogący funkcyonować nawet w imię zasady, widocznie sprzeciwiającej się zdrowemu rozsądkowi, gdy dziś — trzebaby to wszystko tworzyć, co jest oczywistem niepodobieństwem.

I dlatego to widzimy, że już teraz kierunki kontrrewolucyjne, pojmując chwiejność swego dotychczasowego stanowiska, szukają innych haseł, któreby pokryły ich rzeczywiste tendencye. Widzimy więc grożenie Polsce niebezpieczeństwem pruskiem, widzimy neoslawizm, a w ostatnich czasach spłodzone zostało nowe hasło, mające poprowadzić do boju „masy“: wojna wojnie! Ale wszystkie te programy, będące wyrazami prawego (endecko-realistycznego), czy lewego (esdeckiego) skrzydła ugody, są tylko przejawami kwietyzmu politycznego, chęci spokoju, cechującej część naszej inteligencyi, zastraszoną i znieprawioną wiekowym uciskiem i wynaradawianiem. Do czynu pobudzić one nikogo nie będą w stanie, gdyż czyn taki polegać by mógł jedynie na zbrojnej akcyi w obronie dalszego panowania Rosyi nad prowincyami polskiemi.

Co będzie w chwili wybuchu, jaka część społeczeństwa polskiego złączy się z proletaryatem rewolucyjnym, jaka — pójdzie za sztandarem bierności i spokoju, tego przesądzać nie możemy. Ale o jednem pamiętać należy, mianowicie, iż ci, którzy w walce udziału brać nie będą, stracą w ten sposob możność wpływania na kształtowanie się przyszłej, wolnej Polski. I ten wzgląd pozwala nam przypuszczać, że i z pomiędzy tych, którzy dziś wyobrażają sobie, że trzymają się zasad socyalizmu, a nie idą razem z nami, niejeden zrozumie wtedy swój błąd i przyłączy się do wielkiej armii wyzwalającego się ludu.

Wy...

Którym splatacie dzisiaj sławy wieńce,
Którym królewskie odmykacie groby,
Po których głośne kładziecie żałoby —
Czem oni dla was naprawdę?...
Szaleńce,
W jedno ogromne słońce zapatrzeni,
Przez świat niosący czoła takie dumne,
Że, gdy odchodził do królestwa cieni,
Dostawał każdy niepłakaną trumnę...

A szlak po każdym ostawał z płomieni,
Każdy do Boga był lecącą strzałą,
Każdy Ojczyźnie dawał duszę całą,
Pruł fale życia skrwawionemi wiosły
I nigdy pieśni nie obniżył tonu,
I jak go skrzydła żórawiane niosły,
W podniebnym locie wytrwał, aż do zgonu...
Więc z tej Ojczyzny zrobili nazwiska
Pacierz, co płacze i piorun, co błyska.

Dziś się ich ducha zowiecie synami,
Dziś im dłoń wasza laury na grób ciska —
Cóż, jeśli groby ozwą się słowami:
— Wy... coście z Polski zrobili nazwiska?...

Marya Markowska.

Drożyzna współczesna.

I.

Obrona „krajowego rolnictwa“, obrona „sfer ziemiańskich“, warstw szanujących tradycyę a z nią kościół i monarchę, oto hasła, z któremi agraryusze Europy środkowej poczęli się w drugiej połowie ubiegłego stulecia dobijać pomocy rządowej przed grożącem im z za Oceanu widmem tanich cen zbożowych. Pędzeni szlacheckim wyzyskiem bezrolni i małorolni chłopi dostarczyli tylu rąk roboczych dziewiczej ziemi Ameryki, że gdy tylko rozwój żeglugi parowej obniżył koszta przewozu, na rynkach Europy pojawiło się w ogromnej ilości zboże tanie, bo zrodzone z ziemi nie dającej renty panu i jego wierzycielom, a tylko dostatnie utrzymanie te-

mu, co ją potem swym zraszał. Małe koszta wytwarzania amerykańskiego zboża dozwalały na ceny tak niskie, że chłop-emigrant groził teraz dawnym swym dziedzicom zniżką dochodów, zniżką wartości ziemi — utratą przodującego stanowiska w społeczeństwie. I zdawało się już przez chwilę, że pod wpływem konkurencyi amerykańskiej ziemia przestanie żywić pana, który ją będzie musiał rzucić, a zacznie żywić chłopa, szukającego chleba, nie renty.

Ale zaraz cła na zboże uchroniły szlachtę przed utratą przywilejów a ogół — przed taniością, mogącą i biednych nasycić. Tak potężną była jednak ta chlebna nawałnica amerykańska, że przerywała długo wszelkie stawiane jej tamy. Zaledwie n. p. w Niemczech pod wpływem zaprowadzonego w r. 1879 cła, cena pszenicy podniosła się do 212 marek za 1.000 kg., to w 3 następnych latach opada znowu do 184 m., a potem mimo dwukrotnego podniesienia cła — w r. 1885 i 1887 opada dalej i stoi w r. 1888 już na 172!

Wobec niskiej, coraz niższej ceny amerykańskiego zboża, cła miały zupełnie jasne zadanie obrony pewnego „stanu posiadania". Domagano się ich też, grożąc widmem szlacheckiej ruiny, wyludnienia wsi, wymarcia klasy, dostarczającej najdzielniejszego obrońcy, słowem, widmem ojczyzny, pozbawionej w razie wojny żołnierza i chleba. A przytem w Austro-Węgrzech n. p. już po zaprowadzeniu ceł zbożowych obfite zbiory krajowe nie pozwalały na wyzyskanie całego cła. Dobre zbiory nie pozwalały tu długo, by cena zboża ziściła zupełnie agrarne „sny o potędze", t. j. by doszła do wysokości cen światowych z doliczeniem cła i kosztów transportu.

Od lat paru stosunki na międzynarodowych rynkach zmieniły się znacznie. Cena zboża amerykańskiego zaczęła się podnosić, najpierw w niepewnych, wahadłowych skokach, a potem coraz to wyraźniej i silniej. I tak, na wolnym od cła rynku londyńskim pszenica kosztowała za 1.000 kg.:

w r.	koron
1904	149·20
1905	171·—
1906	165·10
1907	160·20
1908	177·20
1909	229·20

Coraz jawniejszem poczęło się stawać, że Ameryka, zasobna w ludność przemysłową, tracącą zapasy wolnej a łatwo dostępnej ziemi, coraz mniejszą a więc i coraz droższą nadwyżkę swych produktów rolnych może Europie nadsyłać. Znikło niebezpieczeństwo „taniości". Cła zbożowe wprowa-

dzone ku „ochronie“ straciły racyę bytu i — pozostały nadal! Agraryusze, nie jęcząc już o ratunek, ale wyzyskując swój wpływ na rządy — tak ogromny w znacznej części dzięki skutecznej pomocy, której koszta ogół już zapłacił — przeparli zarówno w Niemczech jak i w Austryi dalszą podwyżkę taryfy celnej.

I podczas gdy cena pszenicy na rynkach światowych doszła do wysokości, o jakiej austryaccy agraryusze przed paru łaty jeszcze u siebie marzyć nie śmieli — rynki austryackie „chronione“ są cłem na zboże w wysokości 63 kor. od 1.000 kg. „Ochrona“ ta zaś ma teraz już inne znaczenie: przy niskich cenach światowych pozwalała ona ziemiaństwu utrzymać się mimo wyższych kosztów produkcyi, teraz zaś przy wysokich cenach zapewnia już dodatkowe zyski. A przytem podczas gdy różnica między ceną światową a krajową w Austryi wynosiła w r. 1906 — licząc na 1.000 kg. — 19·80 koron, to w roku następnym różnica ta wzrosła już do 40·80 koron a w dwóch ostatnich do 78·10 kor. i 98·10 kor.! Słabe zbiory dopomogły!

Cyfry te pokazują, że cła zbożowe straciły już nawet i to nader wątpliwej natury uprawnienie, które im niegdyś drogę torowało, że nie chronią już rynków słabszych a są tylko haraczem, składanym przez ogół konsumentów wielkim właścicielom i najbogatszemu włościaństwu (włościanie małorolni zboża na sprzedaż nie wytwarzają). Wysokość tego haraczu zmierzyć łatwo: jest to różnica między cenami krajowemi a światowemi.

Zjawisko podobnej natury widzimy i w innej dziedzinie: na polu produkcyi przemysłowej. I tutaj cła stały się narzędziem wyzysku. Dawniej, cła przemysłowe miały znaczenie przeważnie ochronne — miały umożliwić powstanie nowych gałęzi przemysłu w chronionym przez nie obrębie, miały osłaniać pierwsze jego kroki przed współzawodnictwem starszego przemysłu zagranicy. A były przytem przemijającej natury! W miarę jak ochrona spełniała swoje zadanie wychowawcze, gdy pod osłoną ceł przemysł krajowy rozwinął się i wzmocnił na tyle, że nietylko mógł zasilać krajowe rynki lecz i na wywóz pracować, gdy cło kończyło swe posłannictwo, to traciło równocześnie i swą wartość: wolna konkurencya udaremniała wszelkie zakusy dalszego wyzyskiwania cła i obniżała ceny do poziomu cen światowych!

Lecz w gospodarce z ostatniej doby poszczególne grupy przemysłowców odrzuciły już współzawodnictwo. W tych gałęziach przemysłu, gdzie kapitał inwestycyjny doszedł już do takiej wielkości, że szybkie i korzystne zrealizowanie go stało

się rzeczą przypadku, gdzie walka między współzawodnikami grozi zupełną utratą milionowych majątków, zrodziła się myśl sojuszów przemysłowych — karteli. Zamiast współzawodnictwa, widzimy regulowanie cen i produkcyi, widzimy umowę, dozwalającą na wyzyskanie cła.

Kartele, które poczynają swój pochód od najpotężniejszych grup przemysłowych, nadają cłom nowe znaczenie: pod ich osłoną kartel wyzyskuje odbiorcę krajowego. O ile zaś kartel podnosi przytem ceny surowców i półfabrykatów, przemysł krajowy, obciążony wysokimi kosztami produkcyi, stara się o dalsze rozwinięcie systemu celnego i organizuje się dla uzyskania i wyzyskania cła. Pod naciskiem istniejących już karteli powstają kartele dalsze, na dalszych stopniach produkcyi, które się częstokroć przedzierają aż do drobnokapitalistycznych warsztatów.

Kartele te, idąc po linii najmniejszego oporu, starają się przerzucić koszta droższej produkcyi na bezbronnego konsumenta; w ten sposób podnoszenie cen wchodzi w praktykę gospodarczą. Lecz, co dziwniejsze! Bez kartelu, bez ściślejszej organizacyi udaje się teraz poszczególnym grupom producentów przeprzeć zwyżkę cen — ogólna drożyzna staje się jakoby dostatecznem usprawiedliwieniem dalszego podrażania towarów. Rynek, nawet wobec zamachów, wymierzonych stosunkowo dość słabą ręką. małą jakąś wykazuje odporność. Wszystko dookoła staje się droższe, tak że mimowoli nasuwa nam się pytanie, co się tu zmieniło? A może otrzymujemy wyższe cyfry dlatego tylko, że — mniejszą miarą mierzymy?

II.

Wiemy, że wartość towaru wyraża się w złocie. Towary równej wartości wymieniają się na tę samą ilość złota tj. posiadają tę samą cenę. Cena zaś złota zależy tak samo od kosztów produkcyi, jak cena towarów, którym służy za miarę wartości. Jeśli koszta produkcyi złota się podnoszą, to podnosi się jego cena: za tę samą ilość złota płaci się większą ilością towaru. Jeśli koszta produkcyi złota maleją, to złoto staje się tańsze; za tę samą ilość złota otrzymuje się mniej towaru. A więc wartość wymienna towaru może pozostać ta sama. cena ich wszakże, pieniężny wyraz tej wartości może uledz zmianie, jeśli złoto wartość swą zmieni. I tak w pierwszym wypadku, gdy za tę samą ilość złota otrzymamy większą ilość towaru lub za mniejszą ilość złota — tę samą ilość towaru—towar wyda nam się tani, w drugim, gdy za tę samą ilość złota otrzymamy mniej towaru lub za większą ilość złota tę samą ilość towaru, towar będzie

drogi. W obu wypadkach wszakże stosunek wymienny towarów się nie zmienił, bo się ich wartość nie zmieniła, a zmienił się tylko stosunek towarów do złota, bo złoto straciło na wartości. I tak, jeśli poprzednio szewc, sprzedawszy jedną parę bucików, mógł za otrzymane pieniądze nabyć 100 kg. mąki, to i nadal po sprzedaniu butów będzie mógł nabyć tę ilość mąki. Otrzyma wprawdzie raz mniej a raz więcej pieniędzy za swój towar, ale też za to raz mniej a raz więcej pieniędzy za mąkę zapłaci. Raz było wszystko tańsze, a raz „droższe".

Obecna drożyzna, która swoją powszechnością ogromnie przypomina przewrót cen z lat 50-tych po odkryciu nowych wydajnych kopalń złota w Australii i Kalifornii, każe nam obok badania wpływu polityki handlowej na ceny, zwrócić też uwagę na produkcyę złota.

Płyną nam stamtąd dość szczupłe wiadomości, ale już to, co wiemy o kopalniach afrykańskich, a zwłaszcza transwalskich, z kraju, w którym Anglia tak świeżo wywalczyła kapitałowi „wolność" zdobywania zysków najdogodniejszemi metodami, świadczy o poważnych zmianach. I tak, wedle „The Economist" (5. XII. 1908) koszta produkcyi obliczone na 1.000 kg. rudy wynosiły w paru najznaczniejszych kopalniach:

Kopalnia	r. 1899	r. 1908
Crown Deep	23 sh. 7 d	14 sh. 8 d
Crown Reef	24 „ 2 „	15 „ 4 „
May Consolidated . .	21 „ 8 „	15 „ 1 „
Robinson Gold	22 „ 11 „	11 „ 7 „
Robinson Deep	24 „ 5 „	15 „ 1 „
Simmer and Jack . .	20 „ 9 „	11 „ 11 „

Wedle sprawozdania z jednej z nie wyliczonych tu kopalń z 1.000 kg. rudy otrzymuje się złota wartości 27 sh. 5 d — powyższe obniżenie kosztów produkcyi ogromne ma więc znaczenie (The Economist 4. IX. 1909).

Sprawozdania z jednej części przedsiębiorstw kopalnianych donoszą o „ciągle malejących płacach roboczych", inne o „oszczędnościach uzyskanych przez wprowadzenie ulepszonych maszyn", o „coraz większej wydajności pracy zarówno kwalifikowanych jak i niekwalifikowanych robotników"; wszystkie sprawozdania zaś zgodnie podnoszą, że zmniejszone koszta produkcyi pozwalają na otwarcie nowych kopalń złota, któreby się dawniej nie były rentowały (The economic position in South Africa. By a South African Banker. The Economist 26. IX. 1908). Produkcya złota w Transwalu podnosi się też ciągle; roczna jej wartość wynosiła:

rok	tys. funtów szterlingów
1904	16·054
1905	20·802
1906	24·579
1907	27·403
1908	29·957

Wobec tylu danych, przypuszczenie, iż towary drożeją, po odliczeniu dającego się łatwo obrachować wpływu ceł i również dlatego, że złoto tanieje, nabiera wielkiego prawdopodobieństwa. Robotnik, który otrzymuje zapłatę w pieniądzu tańszym, otrzymuje teraz zapłatę mniejszą od tej, którą już pobierał, na którą się zgodził w dobrej wierze w niezmienną wartość pieniądza.

Drożyzna odbiera robotnikowi to, co już zdobył, co sobie już wywalczył w fabryce, w warsztacie. Za tę samą zapłatę w pieniądzu, kupuje on teraz na rynku mniejszą ilość towaru. Tak samo drugi i dziesiąty i w końcu — mniejsza część całej produkcyi rocznej dostaje się klasie robotniczej — większa klasom posiadającym. Stopa życiowa robotnika spada — a w miarę tego zwiększa się stopa wyzysku.

O ile drożyzna wywołana jest przez wyzyskujące ogół organizacye klas posiadających, zwalczać ją może klasa robotnicza tylko w parlamentach, za pomocą walki politycznej, o ile wywołana zaś jest taniością pieniądza, zwalczać ją może tylko przez swe własne organizacye zawodowe. One to muszą stać na straży, by w ogólnej drożyźnie — praca sama nie pozostała tanią! Konieczność uzupełnienia akcyi politycznej czujną i silną organizacyą zawodową przemawia do nas i z powodu kwestyi drożyznianej.

Helena Ławska.

Nasi radykali wobec nowych zawikłań.

Gdy wiosną roku bieżącego wojna austro-rosyjska wisiała w powietrzu, radykalny „Kuryer Lwowski“ zamieścił artykuł, którego pojawienie się notowaliśmy ze smutnem uznaniem, jako ukazanie się — białego kruka... Znaczenie jego polegało na tem, że po raz pierwszy wyrażono tu w codziennem, niesocyalistycznem piśmie myśl wyzyskania międzynarodowej sytuacyi dla sprawy naszej wolności. Słusznie

jednak podniesiono z naszej strony zarzut — podnieśli go także publicyści bez marki partyjnej, jak Polonus Viator w broszurze o „Kwestyi polskiej“ — że organ ludowców nie umiał się wznieść w rozważaniu sytuacyi po nad stanowisko dzielnicowe, prowincyonalne, nie umiał stanąć na ogólno-polskiem, niepodległościowem stanowisku. Zarzut to, podniesiony już sześćdziesiąt z górą lat temu przez Ludwika Mierosławskiego przeciw szlachetnym i ofiarnym demokratom poznańskim, traktującym sprawę narodowego powstania jako parawan jakiś z kos i karabinów, za którym można wytargować od rządu autonomię krajową... Znać jednak, że i to stanowisko, jakie „Kuryer“ zajął podówczas, bądź co bądź stanowisko godne obywatela i patryoty, nie wypłynęło z silnie ugruntowanych przekonań. Bo oto teraz, gdy zatarg austro-rosyjski znowu wszedł w ostre stadyum, zamieszcza „Kuryer“ (Nr. z 18 listopada) artykuł dla nas — niepojęty.

Mamy tu jasne i dobitne streszczenie gry dyplomatycznej hr. Aehrenthala, jego świeżego zwycięstwa nad Izwolskim, w związku z tem wzmiankę o demonstracyjnej przyjaźni Austro-Węgier z Turcyą, o konwencyi wojskowej z Rumunią — nie wspomniano o niewątpliwym już fakcie zbliżenia austro-japońskiego. Tytuł artykułu: „Niepoczytalne harce“. A konkluzye: „Byłby najwyższy czas obu panów (Aehrenthala i — Izwolskiego) oblać zimną wodą. Jest rzeczą wprost nie do wiary, by w XX wieku, w czasie, w którym współżycie narodów (!) już przy wzrastającem zdemokratyzowaniu (!) powinno się układać na coraz szerszych podstawach w z a j e m n e j w y r o z u m i a ł o ś c i (!) los i życie setek milionów uzależniać od urojonej ambicyi niepoczytalnej jednostki“... „Nie mamy ani pieniędzy, ani krwi na cudze fanaberye“.

Pomijamy ową kapitalną „wyrozumiałość“ dla caratu, którą głoszą polscy demokraci — patryoci. Może w ich oczach grzeszy brakiem „wyrozumiałości“ Austrya, pakując masowo do kozy rosyjskich szpiegów? Idzie nam o rzecz zasadniczą: czy wolno rozpatrywać grożący zatarg między Austro-Węgrami a Rosyą, wyłącznie i jedynie z punktu widzenia zaniepokojonego, a kiwającego palcem w bucie — p o d a t n i k a a u s t r y a c k i e g o.

Bo jako syn ujarzmionego i poćwiertowanego ludu pracującego Polski winien był publicysta „Kuryerowy“ pamiętać o tem, że wyrzeczenie się r o z p a t r y w a n i a m o ż l i w e j w o j n y n a p o l s k i m t e r e n i e z p u n k t u w i d z e n i a p o l s k i c h i n t e r e s ó w n a r o d o w y c h, równa się zupełnej, bezwzględnej abdykacyi z wszelkich marzeń o wyzwoleniu politycznem. Głęboki, odwieczny antagonizm austro-

rosyjski zaostrza się nieustannie. Lać zimną wodę, to tyle, co wyrzekać się wszelkiego udziału w nadchodzących wydarzeniach. Nie bardzo też irredentystom polskim do twarzy w owej roli strażaków... „Niepoczytalnymi harcami“ zwie „Kuryer“ zbliżenie się Austro-Węgier do młodych mocarstw i państewek Wschodu. A jednak pismo to, tak często na prusofobię chore, winno witać każdego nowego sojusznika Austryi na Wschodzie, jako zapowiedź usamodzielnienia się austryackiej dyplomacyi od komendy berlińskiej i berlińskiego poparcia...

Rozumiemy antywojenne stanowisko naszych niemieckich i czeskich towarzyszy, którzy tak dzielnie starali się powstrzymać rząd wiedeński od wywarcia pomsty na słabiutkiej Serbii. Ale przygwoździć musimy małoduszność polskiego radykała, gardłującego za zgodą z Rosyą, bo — ho! ho! — „Rosya nie Serbia!“ Na taki „radykalizm“ i „antymilitaryzm“ mogą panowie z konsulatu ręce z uciechą zatrzeć.

St. Z.

Wrażenia zjazdu naszego w kraju.

Szerszy ogół robotniczy dowiedział się o odbyciu się i uchwałach naszego zjazdu z dużych czerwonych plakatów i odezw, rozpowszechnionych w całym kraju, oraz z N-ru 239 „Robotnika“, zawierającego sprawozdanie z obrad zjazdowych. Zjazd sam wywarł bardzo wielkie wrażenie, tak wśród towarzyszy zorganizowanych, jak i wśród sympatyków, a nawet i pomiędzy robotnikami niesocyalistami. Robotnicy kupkami zbierali się około rozlepionych na murach lub parkanach plakatów i odezw i żywo rozprawiali o wynikach zjazdu. W kołach, dalej od organizacyi stojących, pierwsze wiadomości o zjeździe i jego uchwałach wywołały pewne nieporozumienie. Zrozumiano uchwałę zjazdu, dotyczącą powrotu do dawnej nazwy partyjnej, jako połączenie się dwóch frakcyj P. P. S. W Lublinie chrześcijańscy demokraci mówili: no, teraz połączyli się, więc napewno coś zrobią! W ten sposób zrozumieli uchwałę naszego zjazdu i robotnicy, sympatyzujący dotąd z Frakcyą Umiarkowaną. W Łodzi robotnicy „lewicowcy“ poczęli się zjawiać na naszych zebraniach, w okręgu częstochowskim zażądali naszych bloczków, aby płacić podatek partyjny. Trzeba było dopiero im tłómaczyć, że do nas mogą należeć tylko ci b. „lewicowcy“, którzy godzą się na nasz program i taktykę i że o połączeniu się z nami b. „lewicy“ jako całości niema mowy.

Przywrócenie dawnej nazwy partyjnej bardzo dobrze oddziałało na tych b. „lewicowców“, którzy zerwali już byli wszelką łączność ideową z Frakcyą Umiarkowaną, ale nie uważali za stosowne przystępować do F. R., aby ich nie posądzono o lekkomyślne postępowanie. Obecnie ci towarzysze (w Łodzi, Zagłębiu itd.) łączą się z nami organizacyjnie, jako z jedynymi przedstawicielami P. P. S.

Mamy też do zanotowania pocieszający objaw przystąpienia do nas całej organizacyi b. Frakcyi Umiarkowanej w jednym z okręgów, mianowicie w lubelskim. Komitet lokalny lubelski organizacyi „lewicowej“ po dłuższem zastanowieniu się i przeprowadzonej dyskusyi postanowił złączyć istniejącą w Lublinie organizacyę „lewicy“ z naszą. W sprawie tej nasz O. K. R. otrzymał następujące zawiadomienie:

„Zebranie Komitetu lokalnego P. P. S. „lewicy“ w Lublinie uchwaliło, co następuje:

„Ponieważ prowadzenie roboty przez P. P. S. „lewicę“ nie zadawalnia nas ani pod względem programowo-taktycznym, ani pod względem technicznym (dostarczanie bibuły, komunikowanie się władz partyjnych), przeto niniejszem postanawiamy przyłączyć się do b. P. P. S. F. R., obecnie występującej pod dawną nazwą P. P. S. Tem samem solidaryzujemy się z jej programem i taktyką, kładąc kres rozłamowi partyjnemu na gruncie lubelskim.

„Lublin, 27 października 1909.“

W ten sposób przybył nam jeszcze jeden okręg, gdzie my jesteśmy jedynymi przedstawicielami ruchu socyalistycznego. Prawdopodobnie przykład towarzyszy lubelskich pociągnie za sobą podobneż przejawy solidarności robotniczej i gdzieindziej.

Co do naszych towarzyszów zorganizowanych, to uchwały zjazdu, a zwłaszcza powrót do dawnej nazwy partyjnej wywołały, rzec można, powszechny entuzyazm. O tem donoszą korespondencye pism partyjnych z całego terenu naszej działalności.

Jeden Numer Przeglądu S.-deckiego.

„Ex uno disce omnes“ — z jednego okazu poznać można cały gatunek. W przeciwieństwie bowiem do nieboszczki „Myśli socyalistycznej“, która wciąż obiecywała „typowe“ numery, ale nigdy na nie zdobyć się nie mogła, — z s.-deckiego

warsztatu wychodzą same „typowe“ wyroby. Nic w tem dziwnego: mózg polskiego s.-deka, jak noga Chinki, jest już tak zniekształcony i okaleczony, że właśnie te jego cechy patologiczne złożyły się na „typ“ niezmienny i skończony. I jak Chinka nogę swoją uważa za jedynie „prawdziwą“ nogę, jak murzyn ma swój — dla nas nieco dziwaczny — ideał piękności, tak samo rasa s.-decka swój „biedny, biedny“ mózg uznaje za jedynie „prawdziwy“ socyalistyczny mózg i swoje zniekształcenia za nadzwyczajne piękno. Niedarmo Róża Luksemburg hodowała tę trzódkę: udały jej się s.-deczęta! Wykapana „mateczka“! Cała dzieciarnia, pod wodzą „mateczki“, w każdym N-rze „Przeglądu S.-deckiego“ (tudzież w „Czerwonym Sztandarze“) powtarza te same zabawy „miłe i pożyteczne“: są tu zdumiewające figliki dyalektyczne, które w tym światku uchodzą za odkrycia naukowe, odbywa się tworzenie „babek“ z piasku, którą to czynność z dumą nazywa się budowaniem republiki rosyjskiej, urządza się gremialne wycie przeciwko działalności rewolucyjnej, co w opinii wyjców ma wszelkie znamiona „prawdziwej“ pracy rewolucyjnej, a przedewszystkiem — pluje się, pluje na wszystkie trzy strony świata (prócz Wschodu), pluje z naukowem namaszczeniem, z poczuciem misyi, z zapałem, z rozmachem. Najgorliwiej, najdokładniej opluwa się naturalnie kopciuszka — Polskę; a gdy już kopciuszek opluty jest, od góry do dołu, wtedy s.-deczęta radośnie wrzeszczą, że oto już należycie spreparowały Polskę dla rosyjsko-republikańskiego raju. Nagle rozbawione s.-deczęta zobaczą żołnierza, który „na dziś“ reprezentuje u nas rosyjski raj (tylko że bez republiki). Radość i zachwyt granic nie mają. „Panie żołnierz, panie żołnierz — wołają — chodź tu pan do nas, my pana wcale wypędzić nie chcemy, owszem — my pana bardzo prosimy, żeby pan nam wybudował republikę, taką wielką, wielką republikę, nie polską republikę — pfe! — ale rosyjską, kochany panie żołnierz!“. A gdy żołnierz w odpowiedzi pogroził karabinem, s.-deczęta w krzyk: „Nie strzelaj pan do nas — my nie p.p.s.-owcy, do nich pan możesz strzelać, bo to bandyci. Mówiła nam „mateczka“ i p. Dmowski mówił i wszyscy panowie, którym zawsze wymyślamy, mówili. Chociaż to podła burżuazya, ale „mateczka“ mówi to samo, co podła burżuazya, więc burżuazya w tym wypadku jest mądra i szlachetna, jak „mateczka“. Jak już masz strzelać, to strzelaj do P. P. S.-owca: on wam pieniądze zabiera i pewnie pierwej nie przeczyta sobie nawet w I-ym tomie „Kapitału“, co to jest pieniądz. To jest bandyta, a nie marksista!“.

Przyjrzyjmy się teraz nieco bliżej październikowej zaba-

wie s.-deckiej, która nazywa się Nr. 16-ym „Przeglądu S.-deckiego“.

Artykuł wstępny, napisany przez Wara, zatytułowany jest: „Ojcowie i dzieci“. Cóż nam powie p. War., niewątpliwie równie subtelny psycholog, jak Turgeniew? Oto powie nam na samym początku — a później będzie już tylko żonglował temi zdaniami — że i przyjęcie „gości czeskich“ w Warszawie, i bojkot szkoły rosyjskiej w Królestwie „mają wspólne źródło kontrrewolucyjne w reakcyi burżuazyjnej“. Rozumiecie? Nie? No, to przeczytajcie sobie artykuł. Wprawdzie wówczas również nie zrozumiecie, dlaczego bojkot szkoły rosyjskiej jest kontrrewolucyą, a natomiast powrót do uniwersytetu warszawskiego, kolegowanie z „czarnosecińcami“ i słuchanie wykładów „czarnosecińców“ mają być „rewolucyjną metodą“ zdobywania szkoły polskiej. Wprawdzie — powtarzam — nie zrozumiecie tego, ale za to zrozumiecie, co to jest s.-decka „metoda“ i s.-decka „rewolucya“. Zobaczycie, że dla p. Wara bojkot nie jest wcale protestem, bojkot w dzisiejszych czasach to u g o d a (wyraźnie: u g o d a), natomiast uleganie rusfikacyi wraz z „protestem przeciwko szykanom rusyfikacyi“ — to jest dopiero prawdziwa rewolucya, to jest walka o szkołę polską! Zwołać wiec studencki w murach uniwersytetu czy politechniki i poskarżyć się na „szykany rusyfikacyi“ a potem iść na wykłady Filewiczów itp. — oto „metoda rewolucyjna“ p. Wara! Dwie tylko rzeczy w tem wszystkiem dziwią: skąd to się nagle u s.-deków zjawiła wiara nie już w zamieszki, ale nawet w „spokojne protesty“ studenckie, w ich zbawczą moc, jako „rewolucyjnej metody“, a następnie: skąd ten nagły zapał do „walki o szkołę polską“, która dla s.-deków przez cały czas rewolucyi była sprawą zgoła obojętną? Wytłómaczyć to można jedynie tem, że s.-deków drażni fakt niesubordynacyi młodzieży wobec „organicznego wcielenia“: w Rosyi studenci już dawno wrócili do swoich uczelni, a w Polsce jakoś nie mają przekonania do tej „rewolucyjnej metody“; dla dobrej tedy sprawy „utożsamienia“ z Rosyą, dla „złamania idei bojkotu“, wypada mieć przynętę w postaci „spokojnych protestów“, jako „rewolucyjnej metody“ „walki o szkołę polską“.

Dość jednak mamy p. Wara. Oto lepiej z niezawodnym sternikiem, p. K. Radkiem, wypłyńmy na szersze wody, na burzliwe fale polityki międzypaństwowej. Tu już nie studenci polscy otrzymują „wygowor“ za „kontrrewolucyjny“ bojkot; tu proletaryat całego świata z naprężoną ciekawością przysłuchuje się, jak p. Radek ustala jego taktykę wobec zatargów międzypaństwowych, jakie mądre i głębokie daje wskazania Anglikom, Austryakom, Niemcom, Francuzom, Polakom

(tylko „Socyaldemokracyi Rosyi“ nie czyni żadnych uwag bo ta napewno w każdej sprawie międzynarodowej natury zachowa się należycie, to jest po s.-decku), jak wreszcie na prawo i na lewo okrutne zadaje cięcia wszystkim politykom socyalistycznym, którzy nie mogą wznieść się na te Himalaje mądrości politycznej, gdzie on dumnie sterczy — on, K. Radek. Słuchajmy więc Objawienia. Były czasy, były okoliczności — melancholijnie stwierdza p. Radek — kiedy „nawet“ Marks i Engels wołali: „Niech żyje wojna!“ Szczególnie boli p. Radka, że Marks, Engels, „a później ich uczniowie“ głosili hasło wojny przeciwko Rosyi. Okropność! Potrzeba tedy koniecznie „zrewidować“ poglądy Marksa i Engelsa na politykę międzynarodową, bo inaczej Rosya nie będzie zabezpieczoną w swoich uczciwie zapracowanych granicach, w które, jak nas już w swoim czasie zapewniała Róża Luksemburg, „kapitalizm wlał treść swoją“. I oto p. Radek zabiera się do „rewizyi“, a czyni to z właściwą sobie niedźwiedzią gracyą: p. Radek nietylko urządza rewizyę u Marksa i Engelsa, ale wprost bierze ich za kołnierz i prowadzi do cyrkułu, gdzie strażnicy „marksizmu“ kpią z nich nielitościwie, wołając: b u r ż u j e, b u r ż u j e!, a może nawet zlekka kułakując. Bo posłuchajcie tylko, jaki protokół spisał p. Radek po rewizyi: „Stanowisko to (to jest, hasło: „Wojna wojnie!“, przyp. nasz) wypływa... z ogólnego stanowiska proletaryatu względem ustroju kapitalistycznego, z jego oceny wpływu każdej wojny, prowadzonej przez burżuazyę, na położenie proletaryatu. Jest ono więc stałą zasadą, określającą pozycyę proletaryatu wobec wojny, dopóki ster społeczeństwa znajduje się w rękach burżuazyi (z tego wynikałoby, że, gdy ster społeczeństwa znajdzie się w rękach proletaryatu, to wtedy dopiero z czystem sumieniem można będzie wojować — czy tak? Przyp. nasz). Jeżeli, jak to niżej przedstawiamy, założyciele Socyaldemokracyi wygłaszali w r. 1848 i 49 oraz w r. 1859 inne hasła, to mamy tu do czynienia nie z polityką proletaryatu, lecz z receptą polityczną n a u ż y t e k b u r ż u a z y i“. Cóż z tego wynika? Ano tylko to, że Marks i Engels zdradzali sprawę proletaryatu, nie umiejąc ocenić „wpływu każdej wojny, prowadzonej przez burżuazyę, na położenie proletaryatu“, nie krzycząc zawsze i wszędzie „wojna wojnie!“, ba, dając nawet „recepty“ wojenne „na użytek burżuazyi“. Burżuje, burżuje!

Radek do pewnego stopnia oszczędza jeszcze Marksa i Engelsa, ale dla innych, dla Liebknechta np., który w swoim czasie naraził się Róży Luksemburg, jest nieubłagany. Z jaką wyniosłą miną mówi o nim! „Liebknecht — powiada — odznaczył się tem, że przechowywał tradycyjne stanowisko Mar-

ksa wobec konkretnych kwestyj, nie bacząc, o ile się one z biegiem czasu zmieniały“. I cóż to wywołało takie gniewne warknięcie, wywołujące Kryłowowski komentarz: „Aj mośka, znat' ona silna, czto łajet na słona“? Oto taka, zupełnie słuszna, powiedzielibyśmy — prorocza, uwaga Liebknechta, wypowiedziana w broszurze: „Czy Europa ma skozaczeć?“: „...Aczkolwiek po obecnych rządach nie można spodziewać się radykalnego wystąpienia przeciw Rosyi, to jednak nie wynika z tego, aby należało fatalistycznie założyć ręce. Prawda, potęga Rosyi może pęcznieć tylko do pewnego momentu, a później musi nastąpić niszczący odwet zbudzonych i dojrzałych ludów, ale skracamy czas, dzielący nas od tej chwili, wyjaśniając ludom całe znaczenie kwestyi wschodniej“. Niszczący odwet, złamanie potęgi Rosyi — nie, tego żaden Radek, żaden wogóle s.-dek nie zniesie.

Do czegóż sprowadza się polityka międzynarodowa tego s.-deckiego Metternicha? Ano właśnie do tego genialnego poglądu, że taktyka proletaryatu wobec zatargów międzypaństwowych zupełnie nie powinna zależeć od „konjunktury“, od „sytuacyi międzynarodowej“, że każdą wojnę należy zwalczać „wszelkimi środkami“, a gdy wojna mimo to wybuchnie, należy „wykorzystać“ ją dla „walki o socyalizm“. S.-dek „zrewidował“ Marksa, aby dojść do hervéizmu z jego czysto abstrakcyjnem traktowaniem zawiłych i drażliwych spraw polityki międzynarodowej, z jego pogardą dla konkretnych warunków, dla różnic w ustroju politycznym państw, z zamiłowaniem do ogólników w rodzaju „walki o socyalizm“, co ma nam zastąpić wskazania taktyczne na wypadek wojny. Ale co u Hervé'go jest szczerą, choć naiwną rewolucyjnością, wyrazem pełnej temperamentu, chociaż niedojrzałej pod względem politycznym, nienawiści do burżuazyi, to u naszego s.-deka jest czemś innem, czemś daleko gorszem: jest to poprostu zaplątanie się w sieciach polityki rosyjskiej. Jeżeli bowiem nie czyni się żadnej różnicy między Rosyą a innemi państwami, jeżeli wpaja się w umysły zasadę, że nie wolno korzystać ze sprzyjających warunków zewnętrznych dla walki z Rosyą, jako z państwem, jeżeli się woła: wojna wojnie! nawet wtedy, gdy ta wojna może ogromnie przyczynić się do rozbicia caratu, to zaiste pod płaszczykiem nieprzejednanej rewolucyjności ukrywa się jakiś niepoczytalny, chorobliwy patryotyzm rosyjski.

Po „organicznie wcielonym“ Hervé'm — zesdeczały Tołstoj. Po Radku — jakiś s.-dek, opisujący swoje wrażenia więzienne. Rzekłbyś — jakieś Tołstojowskie kazanie o „niesprzeciwianiu się złemu“, o zdrożności walki. „Nie winię tych — powiada sentymentalny s.-dek — którzy uświęcają mord ide-

owy, tak samo jak tych — katów i morderców, którzy piszą prawa i piszą wyroki. Całe społeczeństwo, cała ludzkość nosi w sobie jeszcze kult mordu — obłęd walki powszechnej... Gdzież wyjście? Wyjście w idei życia harmonijnego, życia pełnego, obejmującego całe społeczeństwo, całą ludzkość — w idei solidarności i miłości, wstrętu do mordów... Trzeba skupić szeregi apostołów tej miłości i nieść wysoko jej sztandar, by lud go dojrzał i poszedł za nim, trzeba zwalczać samą ideę mordu, tak samo, jak mordy rządu. I to jest dziś najpilniejsze zadanie Socyaldemokracyi, zadanie tej garstki tu w kraju, która się zachowa". (Podkreślone wszędzie przez nas). Dobre, sentymentalne s.-deczę, które jednako „nie wini" Żelabowa i Aleksandra II, Mireckiego i Skałłona! Szlachetne s.-deczę, które nie chce przelewu krwi, co mu naturalnie nie przeszkodzi kiedyindziej prawić „o ogólno-rosyjskiem powstaniu zbrojnem"! Miłe s.-deczę, które wypaplało tajemnicę partyjną, że „najpilniejszem zadaniem" Socyaldemokracyi jest rozbroić rewolucyę, podczas, gdy rządu oczywiście nasz domorosły tołstojowiec rozbroić nie zdoła! Ale z naszej strony należy się wdzięczność temu „enfant terrible", że tak szczerze wyznał, iż „katzenjammer" porewolucyjny prowadzi s.-decyę do obozu Tołstoja. Teraz dopiero rozumiemy, dlaczego Róża Luksemburg z „wyrozumiałym uśmiechem" „ściskała zacną dłoń" wielkiemu pisarzowi „ziemli russkoj". W świetle wyznań s.-deckiego więźnia doskonale uwydatnia się reakcyjna rola propagandy etycznej Tołstoja i nieporadność polityczna tych naszych niezrównanych „marksistów", którzy akcye swojej „republiki rosyjskiej" umieszczają w „miłości wszechludzkiej", w zwalczaniu „obłędu walki powszechnej", w stawianiu na równi bojowców z oprawcami carskimi itp. Tego pokroju „prawdziwi" socyaliści sprzymierzą się z każdą reakcyjną teoryą, byleby opluć Polskę i sprawę wyzwolenia Polski.

A dla odmiany, w razie potrzeby mają w zapasie inne argumenty, inne metody, zawsze jednak w tym samym szlachetnym celu. Oto pojawia się na firmamencie s.-deckim p. Henryk Konaszewicz z krytyką „Róży" Józefa Katerli. Na czele — motto z Wyspiańskiego. Dla zohydzenia rewolucyjnego patryotyzmu, ku większej sławie „organicznego wcielenia" — s.-dek będzie opluwał żyjących poetów, natomiast będzie powoływał się na Mickiewicza, Słowackiego, Wyspiańskiego. Ba, będzie mówił o „świętych tradycyach narodowych" (które przy innej sposobności określi jako reakcyjne dążenie szlachty do przywrócenia rządów feudalnych), ażeby wszystko, co jest rzeczywistem dążeniem narodowem,

co jest ideą niepodległości, walką o niepodległość — z błotem zmieszać. Taki s.-decki feljetonista z tupetem, właściwym temu gatunkowi, s.-deków postawi się w jednym rzędzie — z Wyspiańskim. „Od półtora dziesiątka lat — powie — wykazywali to (bankructwo patryotyzmu) socyaldemokraci, a wśród poetów znalazł się jeden, Wyspiański, który z przenikliwością żarliwego patryoty zdołał wyczuć znikczemnienie polskiego patryotyzmu i spoliczkował go symbolem jego reakcyjnej gnuśności — słomianym Chochołem“. Zaiste, s.-decya i Wyspiański — zestawienie to bardzo śmiałe, ale zarazem bardzo nieestetyczne. To tak, jak gdyby ktoś „zestawił“ naczynie nocne, „przytem nie próżne“ — podług wyrażenia Heinego, — z bezcenną grecką amforą...

Zresztą cała s.-decka krytyka „Róży“, to nic innego, jak jeden jeszcze paszkwil na P. P. S., na ideę niepodległości, na walkę rewolucyjną. Ze swego stanowiska s.-decki krytyk ma zapewne słuszność, urągając Katerli: albowiem dla s.-deka jedna jest tylko Róża w Polsce, „godna apoteozy poetyckiej“ — Róża Luksemburg, jedna idea wzniosła, mogąca ożywić poezyę naszą, staczającą się „w bagno fałszu i rozkładu“, — idea „organicznego wcielenia“, jedno uczucie szlachetne — serdeczne ukochanie przyszłej Rosyi. Ot, gdyby tak Katerla laurem uwieńczył Gapona, tego „dobrego“ prowoka, który pchnął naprzód ruch robotniczy, gdyby stworzył antytezę owej sceny w „Weselu“, mianowicie przedstawił rewolucyjną s.-decyę polską, jak „wytęża słuch“ i wybałusza oczy w stronę petersburskiego traktu, jak potem raźnie hasa na trupie powalonego wroga (może caratu, a może jeszcze gorszego wroga: P. P. S.), a przygrywa jej nie żaden słomiany Chochoł, ale najcudniejsza Róża z luksemburskiego ogrodu — to byłaby dopiero poezya, to byłby prawdziwy dramat, może nawet sceniczny...

A materyał do takiego dramatu można znaleźć w każdym N-rze „Przeglądu S.-deckiego“. *Res.*

Najnowszy zwrot w moskalofilstwie rusińskiem.

I.

Moskalofilstwo rusińskie w Galicyi ma już za sobą kilkudziesięcioletnią przeszłość. Zaszczepiony na gruncie Rusi galicyjskiej przez rządowych panslawistów rosyjskich przed pół wiekiem, kierunek ten przeżywał rozmaite fazy — w za-

leżności od czynników zewnętrznych, oddziałujących na społeczeństwo rusińskie. Określonego charakteru politycznego moskalofilstwo nabrało w dobie, kiedy losy Austryi zdawały się kierować to państwo do rozbicia. W końcu siódmego dziesięciolecia, kiedy, pobita pod Sadową, monarchia Habsburgów znalazła się w położeniu niezmiernie trudnem, wśród Rusinów zapanowała rozpacz prawdziwa. Nie z powodu klęsk państwa austryackiego, ale z powodu ujawnienia się bezsilności rządu, na którym jedynie budowali całą swą politykę przywódcy kół kierowniczych Rusi. Austrya dawna, Austrya, opierająca się dążeniom konstytucyjnym żywiołów demokratycznych, zbankrutowała. I zaślepionym ufnością do rządu tej starej, reakcyjnej Austryi, Rusinom („Tyrolczykom Wschodu“, jak ich nazywano) zdawało się, że przyszedł kres istnienia czarno-żółtej monarchii i że niedalekim jest ten czas, kiedy wojska „białego cara“ zjawią się w Galicyi i zajmą ją, wypędzając austryackie załogi i urzędników austryackich. Trzeba się było przygotować na przyjęcie zwycięskich zdobywców, i oto „świętojurcy“ rusińscy zwracają się ze wszystkiemi swemi nadziejami ku Petersburgowi i Moskwie, zapominając o tak jeszcze niedawno gorąco czczonym Wiedniu.

Austrya wprawdzie nie upadła, wojska rosyjskie nie zajęły Halicza i Lwowa, ale łaska wiedeńska istotnie opuściła Rusinów. Przewrót konstytucyjny, wywołany głównie niedawnemi klęskami wojennemi, przyniósł zdobycze tym, którzy o nie walczyli — Węgrom i Polakom. Rusinów, owych „Tyrolczyków Wschodu“, rząd austryacki już nie potrzebował, więc zapomniał o nich i wydał ich na pastwę szlachcie polskiej, w jej ręce oddając rządy autonomicznej Galicyi.

W kołach, zupełnie nie przyzwyczajonych do walki, opierających swe nadzieje jedynie na łasce Wiednia, takie zachowanie się rządu austryackiego musiało pogłębić nastrój pesymistyczny i wzmocnić nadzieje na pomoc Rosyi rządowej, zwłaszcza, że emisaryusze panslawistyczni nie omieszkali nadziei tych podsycać.

W obozie moskalofilskim pojawiają się teraz osobistości, które niedawno jeszcze stały na gruncie narodowo-rusińskim. Wszystko, co tylko ma jakieś znaczenie i stanowisko, wszystko, co jest poważne i poważane łączy się z obozem „świętojurskim“, gdy przy sztandarze narodowym pozostaje zaledwie garść młodzieży bez wpływu i znaczenia. „Świętojurcy“ wprawdzie nie zdradzają jawnie swych przekonań politycznych, charakteryzujących się ciążeniem do Rosyi i prawosławia, manifestują swą austryackość, ale jednocześnie zaznaczają, że nie ma różnicy pomiędzy Wielkorusami a Małorusami, że Rusini

i Rosyanie stanowią jeden naród, który powinien mieć jeden język literacki i jedną kulturę.

Rosya rządowa popierała ten ruch i jego menerów pieniężnie, kładąc główny nacisk na propagandę prawosławia. I istotnie moskalofile, o ile działali wśród ludu, więcej zajmowali się szerzeniem prawosławia, aniżeli rusyfikacyi. Zresztą mogli tylko rozpowszechniać rusyfikacyę polityczną w postaci nadziei na cara, który zajmie swojemi wojskami Galicyę i, wypędziwszy panów polskich, odda ich ziemię chłopom. Innej rusyfikacyi szerzyć nie byli zdolni, gdyż sami żadnego pojęcia ani o języku, ani o literaturze rosyjskiej nie posiadali.

Ich prasa („Słowo“, potem „Prołom“ i t. d.) wydawana była w dziwacznej mieszaninie języków: cerkiewnego, ukraińskiego i rosyjskiego. W wydawnictwach ludowych używali miejscowego narzecza, psując je tylko cerkiewnymi wtrętami. W gruncie więc rzeczy wszystkie ich zapewnienia o jedności narodowej z Rosyą i Rosyanami były manifestacyami papierowemi, ściągającemi na ich głowy szykany i prześladowania władz austryackich, a do ich kieszeni dość znaczną liczbę rubli rosyjskich. Parę razy powinęła im się noga, rząd wpadał na tropy zbyt już energicznie prowadzonej propagandy prawosławia i carosławia — i skutkiem tego wynikały głośne procesy, jak ów najsłynniejszy — Olgi Hrabar i towarzyszy. Skutkiem procesów była emigracya do Rosyi wybitnych przedstawicieli moskalofilstwa (Płoszczański, Naumowicz i inni).

Pomimo usiłowań panslawistów rosyjskich moskalofilstwo galicyjskie w ciągu dziesiątków lat objawiało bardzo małą żywotność, gdy tymczasem ruch narodowy rusiński z wąskiego strumyczka przekształcił się na szeroką rzekę, która zagarniała powoli wszystko, co tylko było żywszego w społeczeństwie rusińskiem. Ukrainofile pracowali energicznie i krok za krokiem zdobywali coraz to nowe placówki działalności w postaci szkół średnich, katedr uniwersyteckich, stowarzyszeń oświatowych i naukowych, posad i stanowisk w sądach i urzędach. Rząd austryacki uznał ich za właściwych przedstawicieli społeczeństwa rusińskiego, im czynił koncesye, z nimi wchodził w ugodę, ich popierał przy wyborach przeciwko moskalofilom, gdy tymczasem moskalofile topnieli poprostu, pomimo, że trzymali w swych rękach bogate instytucye, jak „Dom narodowy“, Instytut Stauropigialny i t. d.

W łonie partyi moskalofilskiej wybuchały od czasu do czasu nieznaczne utarczki między drobnemi grupkami młodzieży, która żądała jakiejś energiczniejszej działalności w duchu idei „wszechrosyjskiej“, ale żądania te napotykały na opór „starych“. Młodzież zresztą była tak nieliczna, że o poważniejszej walce ze „starymi“ marzyć nie mogła. Szybko

się więc uspakajała, zwłaszcza, że „starzy“ potrafili zatykać usta opozycyonistom ochłapami w postaci posad, zarobków i subsydyj.

Młoda opozycya moskalofilska w swych poglądach niedaleko odbiegała zwykle od „starych“. Skrajny konserwatyzm, nienawiść do języka „świnopasów“, serwilizm i t. p. cechy znamienne moskalofilstwa łączyły „starych“ i „młodych“ w jedną dobraną całość. Dzieliło ich tylko jedno. „Starzy“ wielbili Rosyę jako ideał, nie znając jej wcale i nie mając pojęcia ani o języku, ani o literaturze rosyjskiej. Używali stale języka rusińskiego jako potocznego, dla ludu pisali w tym języku, a w wydawnictwach, przeznaczonych dla inteligencyi, posługiwali się po dawnemu ową dziwną mieszaniną, zwaną przez Ukraińców „jazyczjem“. Tymczasem „młodzi“ zapoznawali się z językiem rosyjskim praktycznie, usiłowali pisać i nawet mówić między sobą po rosyjsku. Przezywali oni „starych“ „ruteńczykami“, gdy siebie uważali za „prawdziwych Rosyan“.

Ta „rosyjskość“ ich była bardzo wątpliwego gatunku, bo, nie słysząc żywej mowy rosyjskiej, uczyli się języka rosyjskiego z książek, wskutek czego ich język rosyjski był sztuczny i niekulturalny, a ich „rosyjskie“ płody literackie wywoływały u Rosyan istotnych szczere wybuchy wesołości. Koło iście rosyjskich moskalofilów było aż do końca wieku ubiegłego bardzo szczupłe, uszczuplała je zresztą jeszcze bardziej emigracya najzdolniejszych przedstawicieli do Rosyi (Wergun, Jaworski i t. p.). Na gruncie galicyjskim „starzy“ panowali niepodzielnie w obozie moskalofilskim, dopuszczając zaledwie parę jednostek „młodych“ do udziału w pracy politycznej. Martwota powszechna ogarniała partyę moskalofilską, ich wydawnictwa, istniejące wyłącznie dzięki subsydyom, wlekły żywot jałowy, a znaczenie polityczne moskalofilstwa spadło niemal do zera.

Przez pewien czas mogło się wydawać, że moskalofilstwo jako partya jest skazane na zanik naturalny, na wymarcie. Istotnie dopływ młodzieży do szeregów moskalofilskich prawie ustał, gdy tymczasem stare pokolenie moskalofilskie topniało z dnia na dzień skutkiem śmierci rozmaitych kanoników, radców, profesorów, sędziów i t. d. Partyi moskalofilskiej groziła śmierć powolna i świeżo osadzony we Lwowie konsul rosyjski, Pustoszkin, rozejrzawszy się w sytuacyi, wysyłał do Petersburga raporty, bardzo pesymistycznie brzmiące. Mało tego, przyjrzawszy się bliżej działalności moskalofilów galicyjskich, zwrócił on uwagę rządu rosyjskiego na zupełnie niewłaściwy kierunek, jakie przybrało popieranie przez Rosyę „sprawy rosyjskiej“ w Galicyi. Na tem „popie-

raniu“ korzystały tylko jednostki, porastając w pierze, gdy tymczasem idea jedności Rusi Galicyjskiej z Rosyą traciła wszelki wpływ. Pustoszkin odmalował większość menerów partyi moskalofilskiej takiemi barwami, że nagle dopływ subsydyów z Rosyi ogromnie zmalał. Zresztą subsydya te zaczęły teraz napływać nie wprost do kieszeni menerów moskalofilskich, lecz na ręce Pustoszkina, który używał ich bardziej celowo i racyonalnie. Pustoszkin odsunął się od ogółu moskalofilskiego i przestawał tylko z ciasnem kółkiem „prawdziwych Rosyan“ w rodzaju Monczałowskiego, skierowując ich usiłowania do stworzenia nowych podstaw ruchu moskalofilskiego, do ugruntowania jego wśród młodzieży.

Moskalofile „iście rosyjskiego typu“ zwrócili uwagę na młodzież i to nietylko akademicką, która skupiała się w suchotniczy żywot pędzącem stowarzyszeniu „Drug“, ale przedewszystkiem gimnazyalną. Postanowiono szerzyć rusyfikacyę w t. zw. bursach, zakładanych w tym celu, aby niezamożnym synom włościańskim umożliwić chodzenie do gimnazyów. Dawniej bursy te, istniejące po wszystkich większych i niektórych mniejszych miastach Galicyi, zadawalniały się jedynie niesieniem pomocy materyalnej młodzieży szkół średnich, dając jej wikt, mieszkanie, opał i światło. W bursach, znajdujących się w ręku moskalofilów, propaganda rosyjska albo wcale nie była prowadzona, albo prowadzono ją tak opieszale i niedbale, że wychowankowie burs moskalofilskich po ukończeniu gimnazyów tłumnie zapełniali szeregi młodzieży ukraińskiej. Dopiero, kiedy „prawdziwie rosyjscy“ moskalofile, widząc w niedalekiej przyszłości nieuchronną zagładę swego kierunku, zakrzątnęli się energicznie koło młodzieży, charakter burs moskalofilskich zmienił się radykalnie. Poczęto w nich uczyć się języka rosyjskiego, zaznajamiać się z literaturą rosyjską, próbować nawet mówić po rosyjsku i t. d. Po kilku latach wytężonej pracy w tym kierunku z burs wychodzą już świadomi moskalofile i liczba członków „Druga“ zaczyna wzrastać.

Widząc owocność swej pracy, „iścierosyjscy“ moskalofile zaczynają coraz energiczniej pracować nad rusyfikacyą młodzieży i oto po kilkuletniej pracy powstają projekty zorganizowania rosyjskiego szkolnictwa na Rusi. „Narodnyj sowiet“ (najwyższa władza polityczna stronnictwa moskalofilskiego) zwołuje ankietę szkolną, która gruntownie rozpatrzyła warunki urzeczywistnienia tych projektów, i powzięła szereg uchwał praktycznych. Opracowano typ moskalofilskich szkół prywatnych, w których młodzież otrzymywałaby prawdziwie rosyjskie wychowanie, obmyślono sposoby zapewnienia tym szkołom prawa publiczności, postanowiono założyć jaknajprę-

dzej takie gimnazyum prywatne, w któremby przynajmniej część przedmiotów była wykładana po rosyjsku (reszta po polsku, nie po ukraińsku), umożliwiono wysyłanie młodzieży moskalofilskiej na uniwersytety rosyjskie i t. d. Jednem słowem praca „iście rosyjskich“ moskalofilów przybrała w ostatnich czasach taki kierunek, że sfery, popierające z za kordonu rosyjskiego ruch moskalofilski, mogły być zadowolone i spokojne o jego przyszłość.

II.

Stało się to jednak nie odrazu. Na ożywienie zamierającego już, jak się zdawało, moskalofilstwa wpłynęły dwa czynniki. Pierwszym z nich była zmiana stosunku polskich sfer politycznych do moskalofilstwa, drugim zwrot Rosyi od polityki wschodnio-azyatyckiej do antyaustryackiej, znajdującej swój wyraz w popieraniu przez rząd rosyjski „neoslawizmu“.

Jakkolwiek walka polsko-rusińska w Galicyi nie przerywała się, rzec można, ani na chwilę od r. 1848, to jednak ogół polski od samego początku traktował partye rusińskie pod kątem ich stosunku do Rosyi. Samodzielny rozwój narodu rusińskiego, do którego dążyli narodowcy, został uznany za proces normalny, gdy tymczasem „wszechrosyjskie“ tendencye moskalofilów uważano za objaw patologiczny, sztuczny, godny potępienia. Kiedy na koncesye dla narodowców godzono się wkońcu po pewnym oporze, to wszelkie żądania moskalofilów odrzucano bezwzględnie. Zwłaszcza żywioły demokratyczne skłonne były do koordynacyi z narodowemi partyami rusińskiemi, zwalczając energicznie moskalofilską.

Sytuacya ta zmieniła się od czasu wystąpienia na widownię narodowej demokracyi. Pierwszy Jan Popławski w „Przeglądzie Wszechpolskim“ zastanawiał się poważnie nad kwestyą, czy dalsze tolerowanie ruchu narodowego ukraińskiego i zwalczanie bezwzględne moskalofilstwa jest zgodne z interesami narodowymi polskimi. Przychodził on do wniosku, że głównym wrogiem polskości na Rusi są właśnie Ukraińcy, gdy moskalofile, jako wrogowie ruchu ukraińskiego, mogą temu ostatniemu szkodzić, co tylko wyjdzie na korzyść Polaków, zwłaszcza, że moskalofile są zbyt słabi na to, aby mogli marzyć o jakichś pozytywnych zdobyczach rosyjskości w Galicyi. Pogląd ten szerzył się stopniowo w miarę rozwoju wpływów N. D. w Galicyi. Zyskał on grunt w kołach konserwatywnych, dla których moskalofile, jako wstecznicy, byli sympatyczniejsi od radykałów ukraińskich, walczących z przewagą szlachty.

Wzrost nacyonalizmu ukraińskiego z wszystkiemi jego

stronami ujemnemi, — „hajdamaczyzną“ Petryckiego, budzynowszczyzną i prusofilstwem „Diła“ — dokonał reszty. I oto widzimy, że sfery narodowo-demokratyczne i konserwatywne wchodzą na drogę popierania moskalofilstwa. Jeden z przywódców N. D. (dr. Buzek) domaga się uznania narodowości rosyjskiej w Galicyi, a hr. Andrzej Potocki podczas ostatnich wyborów sejmowych rzuca na szalę cały aparat środków administracyjnych, aby przeforsować jaknajwiększą liczbę kandydatów moskalofilskich, którzy też, dzięki temu, wchodzą do sejmu w pokaźnej liczbie kilkunastu posłów z dr. Korolem i Dawydiukiem (starorusinami) i dr. Dudykiewiczem (prawdziwie rosyjskim moskalofilem) na czele.

Moskalofile stali się partyą, popieraną przez władze krajowe i narodowych demokratów i znowu zaczęli odgrywać poważną rolę. To uznanie moskalofilów przez stronnictwa polskie zbiegło się z nowymi prądami w polityce rosyjskiej, kiedy carat, sromotnie pobity na Dalekim Wschodzie, zwrócił swe apetyty w kierunku słowiańszczyzny bałkańskiej i austryackiej. Losy Rusi halickiej znów zainteresowały sfery urzędowe Rosyi i stojące na usługach tych sfer koła panslawistyczne.

Powstał „neosławizm“, a moskalofile galicyjscy wzięli w urabianiu tego kierunku udział jaknajczynniejszy. Moskalofil Hlibowicki wraz z Kramarzem i Hribarem jeździł do Petersburga i składał wizytę Stołypinowi przed omówieniem całej imprezy z Dmowskim. Tenże Hlibowicki składał wizytę Skałłonowi w Warszawie, wracając z Petersburga po otrzymaniu od Dmowskiego owej deklaracyi „bez zastrzeżeń“. Na zjeździe praskim moskalofile odgrywali poważną rolę i na tym zjeździe właśnie polscy „delegaci“ po raz pierwszy uznali prawo Rosyan do zajmowania się losem Rusi Galicyjskiej i zgodzili się na regulowanie stosunków polsko-r o s y j s k i c h w Galicyi Wschodniej, jako części zatargu między narodem polskim a rosyjskim.

Rosya urzędowa stanęła silną nogą w Galicyi, gdzie prawdziwie rosyjscy moskalofile podnieśli głowę jako jedyny czynnik, reprezentujący Ruś wobec świata. Zorganizowano przejażdżkę tryumfalną po Galicyi wschodniej hr. Bobryńskiego, któremu pokazywano najrozmaitsze objawy „rosyjskości“ na Rusi. Czarnoseciniec rosyjski wrócił do domu rozentuzyazmowany tem, co widział, i rozpoczął energiczną działalność w kierunku zdobywania środków materyalnych na poparcie sprawy rosyjskiej w Galicyi. W ciągu paru miesięcy zebrano 50.000 rubli. I potem pieniądze nie przestały wpływać.

Naturalnie odbiło się to natychmiast na natężeniu ruchu moskalofilskiego w Galicyi. Prawdziwie rosyjscy moskalofile

wysunęli się na czoło i postanowili skorzystać z tak dla nich pomyślnej konjunktury, aby skończyć raz już ze „starymi“, z ich „ruteństwem“, z ich platoniczną tylko miłością Rosyi, z ich konserwatyzmem w dziedzinie językowo-kulturalnej.

Prawdziwie rosyjscy moskalofile z Dudykiewiczem na czele zaczynają rozwijać wielostronną a nadzwyczaj intensywną działalność, dążąc do wyparcia „starych“ z pozajmowanych przez nich stanowisk. I to się im w znacznej mierze udaje. W „Towarzystwie im. Kaczkowskiego“ zdobywają przewagę, a zapomocą teroru i najrozmaitszych machinacyj udaje się im przeprzeć na prezesa zarządu partyjnego Dudykiewicza, który teraz poczyna się rządzić w partyi z całą bezwzględnością.

Prasa moskalofilska jednakże była w dalszym ciągu w ręku „starych“. Wprawdzie dawniej duszą głównego organu partyi — „Hałyczanyna“, był Monczałowski, zaprzyjaźniony z Pustoszkinem i działający w duchu rosyjskim. Po jego śmierci jednak duch rosyjski zaczął w „Hałyczanynie“ słabnąć. Moskalofile starszego pokolenia, nie umiejący po rosyjsku i, jako ludzie konserwatywni oraz znajdujący się w stałych stosunkach z polskimi żywiołami urzędowymi, wcale się nie kwapili do prowadzenia ryzykownej polityki rosyjskiej. Przyjaźń z władzami miejscowemi, ugoda z rządem krajowym i namiestnikiem Potockim była dla nich rzeczą bardziej realną od wszechrosyjskich perspektyw Monczałowskiego. Radykalizowanie się obozu ukraińskiego i jego skrajna taktyka polityczna napawały starych moskalofilów nadzieją, że sfery urzędowe zawrą z nimi stały sojusz dla wspólnej walki z partyami ukraińskiemi. Skutkiem tego w redakcyi „Hałyczanyna“ dała się zauważyć pewna chwiejność nawet na punkcie stosunku do języka ukraińskiego. Zastanawiano się zupełnie poważnie, czyby nie wydawać „Hałyczanyna“ po ukraińsku (jakkolwiek pisownią etymologiczną). Posłowie Korol i Dawydiak popierali te dążenia, ale do ich realizacyi przecież nie przyszło wobec oporu „młodych“. Ci ostatni nie mogli jednak pogodzić się z faktem pozostawania prasy w ręku „ruteńczyków“. Zakrzątnęli się więc dokoła tej sprawy, założyli spółkę wydawniczą i oto powstają dwa nowe pisma, prowadzone w duchu czysto rosyjskim — „Prikarpatskaja Ruś“ i „Hołos Naroda“. Pierwsze, przeznaczone dla inteligencyi, drukowane jest w języku, dość udatnie naśladującym rosyjski, drugie wychodzi po małorusku, dla ludu. Jednocześnie iście rosyjscy moskalofile zabrali się do organizowania swoich zwolenników w stowarzyszenia kulturalne, ekonomiczne i t. d., wypierając wszędzie „ruteńczyków“ i walcząc z ruchem narodowo-ukraińskim.

Dla przeciwdziałania narodowo-ukraińskim „sokołom“ i radykalnym „siczom“ moskalofile poczęli zakładać po wsiach i miasteczkach „Russkija drużiny“ i straże ogniowe „Towarzystwa imienia Kaczkowskiego“. Organizacye te mają na celu skupienie pod sztandarem moskalofilskim młodzieży wiejskiej i małomiejskiej, aby menerzy partyjni mogli z niej robić użytek na wypadek wyborów, zgromadzeń i t. p., jaki rosyjscy ich kamraci mają z czarnych secin. „Prikarpatskaja Ruś“ gorąco poleca młodzieży moskalofilskiej, mianowicie akademikom, zajęcie się tym działem pracy rusyfikatorskiej. Jakiś akademik pisze w „Pr. R.“: „My, studenterya rosyjska, powinniśmy stworzyć z „rosyjskich drużyn“ czynnik, który da narodowi naszemu mocną organizacyę, wszczepi patryotyzm w duszę szerokich mas ludowych i przy dobrej woli pomoże skupić cały galicyjski naród rosyjski pod naszym sztandarem“.

Prawdziwie rosyjscy moskalofile wzięli się i do ruchu kooperacyjnego, tworząc coraz to nowe „spółki“ spożywcze, kasy, stowarzyszenia parcelacyjne i t. d., starając się i w tym kierunku konkurować z ukraińcami. Jednocześnie zabrano się do forsownego rozpowszechniania znajomości języka rosyjskiego wśród ludu, nietylko za pomocą szerzenia wydawnictw rosyjskich, ale i drogą praktycznego nauczania. Obecnie jesteśmy coraz częściej świadkami faktów, dawniej zupełnie w Galicyi nieznanych. Chłopi i chłopki występują na zebraniach z przemowami w języku rosyjskim. Ma się rozumieć, że wyuczone przez nich mowy dalekie są od mów w żywym języku rosyjskim, jednakże wpływ swój wywierają i szerzą wśród włościaństwa znajomość mowy państwowej sąsiedniego mocarstwa. Zwłaszcza na zebraniach „Towarzystwa im. Kaczkowskiego“ zawsze są obecni włościanie i włościanki, popisujące się ku wielkiemu entuzyazmowi zgromadzonych przemówieniami rosyjskiemi.

„Pr. Ruś“ pisze, że, zerwawszy z rutenizmem w teoryi, należy zerwać z nim i w życiu realnem. Należy dążyć do tego, aby język rosyjski, a nie ukraiński, został uznany w Galicyi i całej Austryi za język urzędowy Rusinów. Trzeba, aby ten język był w powszechnem użyciu tak w mowie, jak i w piśmie. Pocieszającem jest — pisze organ moskalofilski — że doczekaliśmy się takich faktów, jak wydawanie dziennika czysto rosyjskiego, jak ogłaszanie wszystkich publikacyj „Narodn. sowieta“ i „Russkiej Rady“ po rosyjsku. Teraz nasze kierownicze ciała powinny wezwać wszystkie stowarzyszenia i instytucye we Lwowie i na prowincyi, aby całą biurowość prowadziły po rosyjsku. Popularne wydawnictwa ludowe „Tow. im. Kaczkowskiego“ i „Hołos Naroda“ niech się dru-

kują w narzeczu miejscowem, ale, kiedy wydawnictwo „Hołosa Naroda“ ustali się, należy założyć inne pisemko ludowe w języku rosyjskim, a z czasem, kiedy nasze włościaństwo przyswoi sobie język rosyjski, zrozumie jego piękność i potęgę, można będzie wszystkie gazety i książeczki drukować po rosyjsku. Dla dorastającego pokolenia należy wydawać dobre podręczniki, aby nasi włościanie uczyli się również w życiu codziennem mówić czysto po rosyjsku.

Ma się rozumieć, że tak intensywna działalność Dudykiewicza i jego podkomendnych musiała poruszyć „starych“, którzy spostrzegli, że ich stanowiska są zagrożone. Radykalna rosyjskość „młodych“ (organizowanie pielgrzymek do Poczajowa, Kijowa i Moskwy), też nie przypadła im do smaku, jako rzecz zbyt kompromitująca wobec władz. Ks. Dawydiak wypowiedział się przeciwko „rusyfikacyi“ Rusinów, a dr. Korol poparł żądania posłów narodowych, domagających się gimnazyów ukraińskich. To wywołało straszny krzyk wśród „młodych“.

Zawrzała walka na całej linii, przyczem ani jedna ani druga strona nie przebierają w środkach. Sypią się więc artykuły i broszury, wykazujące, że Dudykiewicz jest skończonym szubrawcem, jednostką z pod ciemnej gwiazdy, złodziejem grosza publicznego, szantażystą, intrygantem, terorystą i t. d., i t. d. „Hałyczanyn“ pełen jest tych inwektyw pod adresem przywódcy konkurującego odłamu, który, naturalnie nie szczędzi „ruteńczykom“ takich samych wymyślań. „Prikarp. Ruś“ zamieszcza w każdym numerze olbrzymie — czasami 3—4 artykuły, dowodzące, że Dudykiewicz jest najuczciwszym pod słońcem człowiekiem, że każdy niemal grosz, który przez jego ręce przeszedł, podwoił się i potroił na dobro narodu, — ale za to jego przeciwnicy, to łajdaki, łotry, draby, a przedewszystkiem szkodnicy sprawy rosyjskiej, „ruteńczycy“, nic dla rosyjskości nie robiący i gotowi ją zdradzać przy każdej sposobności. Kłócący się ze sobą moskalofile posługują się w swych codziennych połajankach takim doborem wymyślań, że niech się Róża Luksemburg wraz z „Czerwonym Sztandarem“ i „Przeglądem Socyaldemokratycznym“ schowa!

„Starzy“ postanowili pozbyć się Dudykiewicza za pomocą środków stanowczych. Oto większość „Klubu rosyjskiego“ w sejmie lwowskim z drem Korolem na czele wezwała Dudykiewicza do oczyszczenia się z obarczających go zarzutów. Tłómaczenie się jego uznano za niewystarczające i zasuspendowano go aż do czasu, kiedy oczyści się ze wszystkiego — i to nie przed sądem honorowym, ale wobec sądu koronnego. W ten sposób z klubu rosyjskiego został usunięty

prezes stronnictwa. Przeciwko temu zaprotestowało dwóch posłów, ksiądz Kołpaczkiewicz i włościanin Myroniuk-Zajaczuk, którzy dobrowolnie z klubu rosyjskiego wystąpili.

Klub więc został rozbity. Ale Dudykiewicz nie poprzestał na tem. Na 1-go listopada został zwołany bardzo liczny zjazd mężów zaufania stronnictwa moskalofilskiego z całego kraju, który stanął po stronie Dudykiewicza, uchwalił wotum nieufności posłom „ruteńskim“ i wezwał ich do złożenia mandatów. Iście rosyjscy moskalofile odnieśli tryumf na całej linii. Idea rosyjska zwyciężyła.

Walka ze „starymi“ rozumie się nie dobiegła jeszcze końca, będzie ona zapewne trwała jeszcze dość długo, ale los starych jest zdecydowany. Wymrą oni lub zleją się częściowo z konserwatywnym odłamem Ukraińców, a ich miejsce w partyi zajmą prawdziwi Rosyanie, nie cofający się przed niczem, aby zapewnić Rosyi carskiej panowanie w Galicyi. I z tem się trzeba liczyć! *St. Os...arz.*

Lipski zjazd Socyalno-demokratycznej Partyi Niemiec.

(Dokończenie).

Przebieg zjazdu tegorocznego mniej był burzliwy, niż w niektórych innych wypadkach, co nawet wywołało pewne rozczarowanie, przynajmniej w tych sferach, które spodziewały się zatargów.

Partya niemiecka pod względem dyscypliny i poczucia solidarności stanowi wprost niezwykłe zjawisko. Można bez przesady powiedzieć, iż niema w świecie cywilizowanym innej potężnej partyi politycznej, której członkowie tak zgodnie poddawaliby się wyrokom większości, nawet wtedy, gdy te wyroki sprzeciwiają się ich najżywszym pożądaniom, lub skierowane są przeciwko osobom. Członkowie niemieckiej Soc. Demokracyi tak dobrze zdają sobie sprawę ze znaczenia partyi, że zawsze gotowi są poświęcić swe osobiste poglądy, gdy ogół, względnie większość tego zażąda. Nie znaczy to jednak bynajmniej, iż są to ludzie bez charakteru. Nie wyrzekają się oni bynajmniej swych poglądów, ale gdy partya tego zażąda, zaprzestają działalności, która przez partyę potępioną została. Przykładów tego rodzaju postępowania znaleść można mnóstwo, jeżeli wziąć tylko ostatnie lata.

Tu trzeba jeszcze zauważyć, że w większości wypad-

ków kierownicy większości partyjnej w Niemczech mieli tyle taktu, iż nie starali się przeciągać struny. Uchwały, nieprzyjemne mniejszości, ujęte są zwykle w formę bardzo łagodną, nie ubliżającą nikomu, w wielu zaś wypadkach przychodzi do kompromisu, polegającego na tem, iż większość zadawalnia się przyjęciem pewnych ogólnych wskazań, zrzekając się różnych szczegółów. Stąd wynika, iż np. uchwała w sprawie rewizyonizmu przyjętą została przez jeden ze zjazdów jednogłośnie, głosowali za nią rewizyoniści, gdyż potępiała ona tylko to, co uczyniłoby z rewizyonizmu przeczenie naszych zasad.

Tak bywa zwykle, a przynajmniej bywało do ostatnich czasów. Trzeba bowiem przyznać, iż teraz do pewnego stopnia poczyna się zmniejszać dawne niewzruszone poczucie jedności partyi i wynikająca stąd dyscyplina z jednej strony, z drugiej — tolerancyjność. Przejawiło się to na zjeździe zeszłorocznym, z okazyi głosowania socyalistów za budżetem w sejmach południowo-niemieckich. W centralnym organie partyjnym „Vorwärts“, wytoczono wtedy przeciwko winowajcom największe działa, jakie można znaleźć w stronnictwie socyalistycznem, traktowano ich tak, jak gdyby miano na myśli wyrzucenie ich z partyi. Wywołało to zupełnie analogiczne zacietrzewienie ze strony przeciwnej, a gdy zjazd uchwalił, że głosowanie za budżetem jest niedopuszczalne, ogromna ilość delegatów oświadczyła, że nie podda się tej uchwale.

I tym razem można było przypuszczać, że nastąpi coś podobnego. Im bardziej zbliżał się zjazd, tem ostrzejsze formy przybierała walka ortodoksów z rewizyonistami, przyczem trzeba przyznać, iż znowu stroną atakującą był zwykle „Vorwärts“, który w każdym numerze zbawiał partyę przed zdradą, zabagnieniem, burżuazyjnymi poglądami itp. Jednak oczekiwania tych, którzy albo zbyt gorliwie pragną „oczyścić“ partyę, albo należąc do obozu burżuazyjnego, cieszyli się zawczasu z mającego nastąpić rozłamu — spełzły na niczem.

Zjazd odbył się w Lipsku, w starodawnej twierdzy socyalizmu. Tem bardziej uderzała przy rozpoczęciu obrad nieobecność tak zasłużonego w tem mieście Bebla, któremu zdrowie nie pozwoliło zjawić się. Przyjechał on później, ale w obradach mały brał udział. Brakowało również duchowego wodza rewizyonistów — Bernsteina.

Dyskusya nad sprowozdaniem zarządu mało zawierała ciekawego. Charakterystyczne było tylko przemówienie Ledeboura (znanego naszym czytelnikom z obrony naszej sprawy i z cięgów, jakie otrzymywała odeń Luksemburżanka). Jest on typowym przedstawicielem ortodoksyi i w taki sposób

charakteryzował sytuacyę polityczną: w Niemczech rządzą Prusy, czyli junkrzy, działający za pośrednictwem biurokracyi; inne partye (liberali i centrum) pomagają im; nie można mieć żadnych widoków na opozycyę liberałów przeciw rządowi; wobec tego należy zwalczać cały dzisiejszy system, nie łudząc się nadzieją poprawienia szczegółów.

I tym razem tow. L. miał sposobność wypowiedzieć się ze swymi poglądami na sprawy polskie. Gdy bowiem delegat P. P. S. zaboru pruskiego, tow. Biniszkiewicz, zarzucił frakcyi, że niedostatecznie ostro napadała na Koło polskie, to odpowiedział mu L., że to da się odrobić, ale dodał zaraz, że nie przeszkodzi to bynajmniej partyi bronić interesów narodowych Polaków, nie dla pięknych oczu Koła, lecz po to, aby ulżyć losu robotnikom polskim.

Zarządowi i frakcyi udzielono absolutoryum bez sporu, ale jednocześnie przyjęto pewną uchwałę, która charakteryzuje walkę, toczącą się między obu skrzydłami partyi. Mianowicie, na wniosek berlińczyków, którzy odznaczają się szczególną gorliwością w bronieniu partyi od „zabagnienia", powzięto rezolucyę, mającą raz na zawsze położyć tamę wszelkim próbom współdziałania z liberałami, propagowanego gorliwie przez rewizyonistów. Uchwała ta wylicza najprzód różne reakcyjne postępki liberałów, stwierdza, że oni „stanowili stałą część jednej reakcyjnej masy" i na podstawie tego głosi:

„Domaganie się posłów socyalno-demokratycznych, by współdziałać z takimi liberałami, albo nawet ograniczać krytykę (liberalizmu) ze względów taktycznych, musi wydawać się krwawem szyderstwem z partyi".

Uchwała ta, pomijając już bombastyczną i śmieszną formę, była wysoce niepolityczną, krępowała bowiem ręce partyi i zmuszała frakcyę do działania w pewnym określonym kierunku, choćby nawet sytuacya polityczna wymagała czego innego. Przyjęta zaś została w pośpiechu, obok wielu innych. Ale zaraz nazajutrz okazało się, że wielu delegatów głosowało, nie zdając sobie dobrze sprawy, o który wniosek idzie, podniosły się protesty, prezydyum zarządziło ponowne głosowanie i rezolucya została odrzucona. „Vorwärts" udzielił za to zjazdowi naganę.

Pisma liberalne przyjęły ten fakt z ogromną radością, widząc w tem tryumf rewizyonizmu. Taka ocena głosowania zupełnie jest niesłuszna, ale w każdym razie wskazuje ono, że zjazd bynajmniej nie miał ochoty dać się wodzić na pasku przez doktrynerów.

Warto tu wspomnieć o jednym jeszcze, podobnym incydencie. Współpracownikiem „Vorwärtsu" jest znany czytelni-

kom esdek z „Królestwa Polskiego i Litwy“, Karski. Oczywiście, iż należy on do najgorliwszych szermierzy w sprawie tej specyficznej „czystości“ zasad, do której nasi esdecy takie mają upodobanie. Nie wszyscy jednakże towarzysze niemieccy cierpliwie znoszą tego rodzaju zarzucanie im odstępstwa od „prawdziwego“ socyalizmu, to też jeden z delegatów, Ryszard Fiszer, skorzystał ze sposobności, aby w następujący sposób skarcić westalkę polsko-niemiecką:

„Tuż przed zjazdem usiłowało parę gąsiorów z frakcyi zbawić Kapitol. Teraz zaś organ centralny rozpoczyna kanonadę na zarząd i frakcyę, i to taką, iż głupszej, bezdarniejszej i podlejszej nikt nie widział... Szkoda, że wogóle trzeba zajmować się tego rodzaju g... (Dreck)“.

Wypowiedziawszy to, tow. F. nazwał p. Karskiego i dodał, że będąc cudzoziemcem, ten powinienby być powściągliwszy w swych sądach o stosunkach niemieckich.

Na to. p. K. odpowiedział w „Vorwärts'ie“ w sposób, który warto zapamiętać (Nr2 18):

„Ponieważ od r. 1888 z krótkiemi przerwami czynny jestem w Niemczech dla partyi socyalno-demokratycznej, więc przypuszczałem, że tylko policya uważa mnie za cudzoziemca“.

Po dyskusyi nad działalnością i taktyką partyi przyszła kolej na sprawę, która wywołała najbardziej namiętne walki przed zjazdem, mianowicie kwestyę znanego przyjęcia przez kilku posłów południowo-niemieckich zaproszenia na śniadanie ze strony króla wirtemberskiego i śniadanie, podczas którego wzniesiony został okrzyk na jego cześć. Postępek ten był bezwątpienia grubym błędem ze strony pomienionych towarzyszy, ale z drugiej strony należy przy ocenie faktu brać pod uwagę stosunki, panujące w Niemczech południowych, demokratyzm, którym życie tam jest przesiąknięte i który łagodzi antagonizm między klasami i partyami itp. Tymczasem polemika w tej sprawie przybierała takie formy, jak gdyby tu szło o samo istnienie partyi. To też, gdy przewodniczący oznajmił, że zjazd przystępuje do tego punktu porządku dziennego, w sali zapanowało grobowe milczenie, tak każdy wahał się przed poruszeniem tej drażliwej sprawy. Tymczasem i to zostało prędko i bez zaognienia załatwione, gdyż winowajcy złożyli deklaracyę, że nie byliby udali się na wystawę (która stanowiła teren ich spotkania się z królem), gdyby byli przypuszczali, że z tej okazyi może nastąpić monarchiczna manifestacya; zjazd zadowolnił się tem.

Tyle w sprawie walki frakcyjnej w łonie niemieckiej S. D. Z pozytywnych uchwał zjazdu nadmienić należy nowy statut partyjny. Reguluje on ostatecznie położenie towarzy-

szek w partyi, nakazując im wstępowanie do ogólno-partyjnych organizacyj, zamiast tworzenia swych odrębnych związków kobiecych, jak dawniej. Stowarzyszenia kształcące kobiece są przytem dozwolone, ale udział w nich nie uwalnia od należenia do partyjnego związku politycznego. Dalej określona została minimalna składka: 30 fenigów (15 kop.) miesięcznie dla mężczyzn, 15 f. dla kobiet, z czego 20% idzie do kasy centralnej. Przy wyborach na zjazd obowiązywać będzie odtąd przedstawicielstwo, proporcyonalne do ilości zorganizowanych w danym okręgu.

Z innych uchwał największy może entuzyazm wywołało postanowienie bojkotowania wódki, aby w ten sposób ukarać agraryuszy za ich wrogie względem ludu pracującego stanowisko. Wniosek, wzywający do występowania z kościoła, upadł, zgodnie z dotychczasową taktyką partyi. Przeciwko barbarzyństwom caratu wniesiono protest. *A. Wroński.*

Z Międzynarodówki.

Doroczne posiedzenia Międzynarodowego Biura Socyalistycznego w Brukseli od Zjazdu Stutgarckiego trwają dni trzy, rozbijając się na trzy oddzielne fazy. W pierwszym dniu odbywa się konferencya prasy socyalistycznej, w drugim obraduje właściwe Biuro, trzeci dzień poświęcony zostaje pracom komisyi międzyparlamentarnej posłów socyalistycznych. Dla nas, Polaków z zaboru rosyjskiego, jedynie dwa dni pierwsze posiadają realną wartość. Pozbawieni wpływu na prawodawstwo robotnicze, z radością jeno przysłuchiwać się możemy projektom praw o ubezpieczeniu robotniczem, o emeryturze na starość, o bezrobociu, o regulowaniu imigracyi i emigracyi, projektom, zgłaszanym w różnych parlamentach przez towarzyszy naszych z krajów niepodległych i konstytucyjnych. A i prasa socyalistyczna, różne reformy proponowane przez towarzyszy cudzoziemskich — o wprowadzeniu agencyi telefoniczno telegraficznej, o regularnem zasilaniu korespondencyami pism partyjnych, niewiele nas realnie obchodzić mogą przy naszych drukarniach podziemnych, naszej kolporterce tajnej. W całości zgodzić się musimy ze zdaniem tow. Diamanda, iż jeśli mowa o polskiej prasie robotniczej, to należy mieć na uwadze wyłącznie prawie codzienną prasę Polskiej Partyi Socyalno Demokratycznej zaboru austryackiego, gdzie pisma robotnicze wychodzić mogą regularnie.

Również podkreślić chcemy drugi pogląd tow. Diamanda o sprawach polskich, szczególniej o sprawach Polski rosyjskiej, że robotnicza prasa cudzoziemska źle i niedokładnie jest informowana. Duże zróżniczkowanie partyjne w Królestwie wpływa na to, że korespondencye z Królestwa Polskiego, do pism niemieckich szczególnie, noszą na sobie piętno partyjności, źle zrozumianej, każącej prawdę gwoli reklamie swojej grupki partyjnej. Słuszność tego poglądu bije w oczy, o ile przypomnimy sobie korespondencye Mazowieckiego w pismach rosyjskich, a esdeków w pismach niemieckich.

Zatrzymajmy się dłużej na środkowej konferencyi Międzynarodówki, na właściwej konferencyi Biura Międzynarodowego. Przedewszystkiem tedy Międzynarodowe Biuro ustaliło datę i miejsce Międzynarodowego Zjazdu Socyalistycznego. Odbędzie się on w Kopenhadze. Trwać będzie od 28 sierpnia do 4 września. Porządek dzienny Kongresu przyjęto następujący: 1. Kooperatywy (propozycya tow. belgijskich i francuskich); 2. Solidarność międzynarodowa w wypadkach masowych lokautów i strejków (propoz. tow. szwedzkich); 3. Bezrobocie; 4. Sądy rozjemcze i rozbrojenie (propozycya tow. austryackich); 5. Stosunki poszczególnych partyj socyalistycznych z Międzynarodowem Biurem (propozycya tow. francuskich); 6. Prawodawstwo robotnicze (propozycya tow. amerykańskich); 7. Akcya międzynarodowa w sprawie 8-godzinnego dnia roboczego i Pierwszego Maja (propozycya tow. angielskich); 8. Sprawa zniesienia kary śmierci (propozycya nasza). Na tej ostatniej propozycyi musimy się zatrzymać.

Sprawa walki z karą śmierci nie jest dla nas tylko kwestyą skreślenia z kodeksu karnego resztek barbarzyństwa, mszczącego śmiercią za śmierć, nie jest również jedynie stwierdzeniem konieczności szanowania życia **każdego** człowieka przez społeczeństwo. U nas wszystko jest barbarzyńskie, u nas kierownicy społeczeństwa nic nie szanują. Dlatego my protestować możemy przeciw karze śmierci tylko w związku z protestem przeciw innym dolegliwościom, ba, sami, chcąc uzyskać stosunki nie nacechowane ciągłem, masowem mordowaniem ludzi, musimy karę śmierci wymierzać na naszych prześladowcach. Ale właśnie te straszne, nieznane i wprost niezrozumiałe dla dzisiejszej Europy zachodniej okrucieństwa, które rząd rosyjski w kraju naszym popełnia, wywołują ten objaw, że niejeden zachodni szczery zwolennik zniesienia kary śmierci, w stosunku do nas pojmuje i pochwala taktykę naszą, nie przestaje potępiać rządu carskiego. Tym wszystkim wrogom barbarzyństwa carskiego musimy dać obraz tego, co się w kraju naszym dzieje, musimy dostarczyć materyału, który pozwoli im w dalszym ciągu zwalczać carat. Ponieważ

zaś potrzeby nasze zejdą się w tym wypadku z akcyą, prowadzoną przez partye socyalistyczne oraz przez elementy hu- burżuazyjne, przeciw legalnemu mordowaniu ludzi, ka nasza z caratem tylko zyskać będzie mogła.
notywy skłoniły nas do postawienia punktu powyż- porządku dziennym przyszłego zjazdu międzynaro- Spotkał on się z pewną opozycyą, nie zasadniczą, ołaną obawą „drażliwych kwestyj" — a wszystko, is tyczy, jest do pewnego stopnia drażliwe, jak za- ri — ale poparty został gorąco przez towarzyszy ich, amerykańskich, niemieckich i przeszedł.
to jeszcze wspomnieć o jednym incydencie. Do Biura ę przedstawiciele secesyi, która wystąpiła z partyi kiej i uważa się, jak nasi esdecy, za jedynych przed- marksizmu. Delegat partyi S. D. holenderskiej od- im, że w partyi pozostał cały szereg marksistów, secesyonistyczna bardziej szkodzi, niż pomaga roz- lki proletaryatu. Mówcy wypowiadali się i za i prze- wszych zwykle pociągała nazwa marksistów, którą syoniści nadają. Jednak znaczna większość (Austrya, Węgry, połowa Polski, Ameryki, Rosyi itd.) wbrew zdaniu delegacyi niemieckiej postanowiła odesłać secesyonistów do partyi oficyalnej, która rozstrzygnie o ich dopuszczeniu do Międzynarodówki. Od tej decyzyi przysługiwać im będzie prawo apelacyi do Zjazdu.

Sprawom, związanym z innymi punktami porządku dziennego przyszłego Międzynarodowego Zjazdu w Kopenhadze, zamierzamy poświęcić szereg artykułów specyalnych. Szczególniej na sprawę kooperatyw robotniczych zwrócić chcemy uwagę czytelników „Przedświtu". Ruch współdzielczy w Anglii, Niemczech, Francyi, głównie zaś w Belgii olbrzymią i silną podporą jest dla bratnich partyj naszych. Nieznacznie, z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc coraz szersze kręgi ruch współdzielczy zatacza, zaprowadzając w przemyśle i handlu zasady kolektywistyczne, znosząc najgroźniejsze skutki kryzysów ekonomicznych, czyniąc życie robotnika znośniejszem, nawet w piekle ustroju obecnego. *Edw.*

Układ bojowych sił w bitwie.

Taktyka jest nauką, operującą prawie wyłącznie uogólnieniami. Wypływa to z nieokreślonej masy czynników, dających jej możność stawiania wniosków i ich teoretycznych uzasadnień, oraz z niepowtarzalności faktów, stanowiących jej

eksperymentalne podłoże. Stąd wszelkie normy regulaminów,
liniowych i służbowych, podręczników taktyki i t. p. są nadzwyczaj giętkie i elastyczne. Z natury rzeczy
kacyę na dobrego żołnierza i wodza daje
przestudyowanych dzieł wojskowych, lecz pewna
widualnych zdolności organizatorskich i bojowych.
jęcia jednak walki z obeznanym z wojskowością
bitnym wrogiem konieczną jest rzeczą posiadanie w
tycznej przynajmniej w tym stopniu, co przeciwni
w danym razie lepiej przeceniać niż niedoceniać.
ganizowany i nieumiejętnie kierowany tłum, mimo
wolucyjnego zapału, uledz musi armii regularnej, pr
później. Teorya, choć tutaj ma znaczenie drugorz
niezbędną i niezwykle rzadko daje się zastąpić oc
zdolnością człowieka, zwłaszcza przy dzisiejszych te
środkach walki i skombinowanych formach organi.

W zakres niniejszego drobnego szkicu wchod
nie układu sił bojowych w poszczególnych starcia
wiście, że omawiać będziemy bitwę bez względu
stan rzeczy na teatrze wojny, który — zwłaszcza
warunkach — może wprowadzać do taktyki cały szereg form
specyalnych lub nowych, dotąd niepraktykowanych nigdzie.
Potrzeba jednak znać formę przeciętnie normalną, aby módz
zoryentować się w położeniach wszelkiego rodzaju.

Dążność do rzucenia na przeciwnika odrazu jaknajwiększej ilości bojowników wytwarzała w epoce przednapoleońskiej system walki długim i płytkim wskutek tego szeregiem wojsk. Jakkolwiek w taktyce wszystkich prawie epok istniały rezerwy bojowe pod różnemi postaciami, jednak właściwa rezerwa, jako niezawisły oddział wszystkich trzech rodzajów broni pod bezpośrednią komendą wodza naczelnego, — zjawia się dopiero w taktyce Napoleona. Ten zasadniczy rozdział walczących sił na dwie części: linię bojową i rezerwę, stał się odtąd prawem, bezwzględnie i wszędzie stosowanem. Prócz tego, znaczenie rezerw wzrosło do tego stopnia, że zatrzymano je zasadniczo nawet w najniższych jednostkach taktycznych, działających w łączności ze sobą. Rezerwy te nazywają się szczególnemi, dla odróżnienia od ogólnych, służących całej walczącej armii, i podlegają dowódcy tego oddziału, z którego są wydzielane.

Linia frontu armii walczącej dzieli się na szereg t. zw. działów bojowych. Każda kompania (rota) ma swój dział bojowy, który wyznacza jej dowódca batalionu, batalionowi wyznacza dział pułkownik i t. d., aż do naczelnego wodza, kierującego najwyższemi jednostkami taktycznemi. Każdy dział bojowy powinien mieć w zasadzie łańcuch strzelców (linia

bojowa) i rezerwę, poszczególne działy mogą jednak tej ostatniej nie posiadać. Wojska, zajmujące dział bojowy, mogą składać się ze wszystkich rodzajów broni i są pod komendą jednego dowódcy, odpowiedzialnego za powierzoną sobie część terenu walki. Wie on o ogólnym celu działania armii i najbliższych sobie oddziałów i stara się dostosować do całokształtu prowadzonej akcyi.

Długość działu bojowego zależną jest od ilości i rodzaju zajmujących go wojsk, oraz charakteru terenu. Na terenie niezakrytym kompania (250 ludzi) zajmuje 250—300 kroków, batalion 800—900 kroków i t. d.; przerwy między armatami w bateryach najmniej 16 kroków; konnica—zależnie od formacyi, w rzeczywistości sama nigdy nie działa na linii bojowej. Jeśli obok niej znajdują się inne wojska tejże armii, każdy dział wystawia na tyłach swoich i skrzydłach piesze lub konne straże, które mają obowiązek utrzymywać ciągły kontakt z walczącym oddziałem.

Zadaniem łańcucha strzelców jest: 1. przy ataku niszczenie przeciwnika ogniem, bezustanne posuwanie się naprzód za pomocą pojedyńczych lub grupowych przebiegań pod ogniem wroga, oraz przy zbliżeniu się doń na kilkadziesiąt kroków atak na bagnety; 2. przy obronie pozycyi — wstrzymywanie ogniem ataków nieprzyjacielskich, oraz prześladowanie odstępującego wroga; 3. przy odwrocie — osłanianie ogniem lub bagnetami cofającego się oddziału.

Rezerwa znajduje się nieodłącznie w pobliżu strzelców, wedle możności ukryta od kul wroga, przyczem odstęp między nią a linią strzelców zawsze musi być krótszy od dystansu między wrogiem i tą ostatnią. Zadaniem rezerwy jest: 1. zapełnianie przerzedzonego łańcucha strzelców lub zgęszczanie go, prócz tego 2. wypieranie bagnetami wdzierającego się na pozycyę wroga, 3. kontrataki przy odwrocie, i rzadziej 4. porażanie większych mas wroga ogniem na wielką odległość ponad głowami swoich strzelców. Rezerwa musi być również gotową do przeciwdziałania wszelkim niespodziankom boju.

Znaczenie rezerwy określa krótko zdanie wodza 30 bitw — Napoleona: „Bitwy będą wygrywane, jeśli w krytycznym momencie wzmocni się linie bojowe“. Przed decydującą chwilą w boju nigdy nie wyczerpuje się całej rezerwy. Omyłki podobne mszczą się okrutnie. Przedwczesne zużycie rezerwy doprowadziło wojska Blüchera do porażki pod Ligny, omal nie stało się zgubą całej armii Mac-Mahona pod Wörth, a w wielu innych wypadkach wywarło zgubny wpływ na bieg walki.

Tak więc szyk bojowy od czasów Napoleona przedsta-

wia się jako szeroki pas strzelców i postępujących za nimi rezerw szczególnych, oraz rezerwy ogólnej, której miejsce zależnem jest wyłącznie od warunków terytoryalnych i zamiarów własnych i wroga, o ile wie się o takowych. Rezerwa ogólna siłą rzeczy ciąży ku najbardziej zagrożonemu punktowi i tam się zużywa, to też przeciwnicy starają się olbrzymim nieraz nakładem sił odciągnąć ją od miejsca planowanego ataku. Gdy to się uda — bitwa w połowie jest wygraną. Demonstracya na lewem skrzydle Jouberta pod Novli-Ligure w celu przyciągnięcia tamże rezerw jego kosztowała sprzymierzonych blisko 6.000 ludzi (Austryaków). Demonstrujący generał austryacki Kray nie wiedział o swej roli i wskutek tego atakował nieprzyjaciela niezwykle energicznie, uważając swój atak za główny, podczas gdy Suworow decydujące uderzenie przygotowywał na prawe skrzydło Francuzów, o 8 wiorst od miejsca demonstracyi. Jeszcze jaskrawiej przedstawia się znaczenie fałszywych ataków dla skierowania rezerw wroga w kierunku wygodnym dla atakującego w bitwie pod Bautzen (Budziszyn). Ani jeden z marszałków nie wiedział o właściwym planie Napoleona, który polegał na zajęciu Kręstwickich wzgórzy w centrum przeciwnika. Marszałkowie Macdonald i Oudinot, atakujący bardzo ważną część pozycyi prusko-rosyjskiej — lewe skrzydło, skąd szły drogi do odwrotu, zupełnie słusznie mogli uważać swoją akcyę za najważniejszą i działali tak, że demonstracya rzeczywiście groziła klęską sprzymierzeńcom i zmusiła ich do zużycia rezerw w tym kierunku. Nie posiłkowane centrum wkrótce było przerwanem, co stało się hasłem do ogólnego odwrotu i porażki armij sprzymierzonych.

Najrozmaitsze sposoby szachowania przeciwnika mają za zadanie zmusić go do przekształcenia szyku bojowego w myśl naszych planów — jak mówiliśmy wyżej, — lub też zdemaskować istotny rozkład jego sił. Jednego i drugiego można uniknąć tylko wtedy, jeśli odrazu bierze się inicyatywę w swoje ręce, innemi słowy — pierwszym zaczyna się energiczny [1]) atak. Dlatego uformowanie wojsk przed bojem powinno mieć na celu przedewszystkiem stanowcze wykonanie własnego planu uderzenia wroga, później dopiero środki do obrony.

Manewry obchodowe, t. zw. oskrzydlania są możliwe tylko wtedy, gdy przeciwnik jest mniej liczny od oskrzydlającego. Dają one wprawdzie dobre rezultaty i przy odwro-

[1]) Określenia: energiczny, śmiały, wytrwały i t. d. powinny być właściwie wykluczone z terminologii bojowej. Ataki czy obrona powinny być zawsze energiczne, śmiałe, wytrwałe i t. d.

tnym stosunku sił, ale wówczas, gdy w grę wchodzi niesłychanie ważny czynnik zwycięstwa: nieoczekiwana nagłość akcyi. Obchody są trudne, gdy wróg stoi na wysokości swego zadania. Skrzydeł broni, a raczej pełni na nich straż większość konnicy oddziału lub armii i gęstym łańcuchem czuwa daleko na obustronnych przedłużeniach frontu bojowego, oraz na bokach i tyłach. Najlepszą obroną od obchodu bywa uderzenie w odkryte skrzydło flankujących, czyli zachodzących z boku. W razie niemożliwości zrobienia tego lub bierności atakowanego front jego powinien załamać się pod pewnym kątem w stronę obchodzącego oddziału i walka staje się wtedy dwufrontową. Oskrzydlania, o ile są możliwe, przynoszą wielką korzyść inicyatorom: pomijając względy czysto taktyczne, powodują moralny upadek ducha w wojskach nieprzyjacielskich. Przedsiębrane mylnie łatwo sprowadzają klęskę oskrzydlających, gdyż uszczuplają front i dzielą siły.

Teren, na którym strona atakowana formuje szyk bojowy, posiada jeden lub kilka kluczy taktycznych pozycyi, oraz klucz strategiczny tejże. Odpowiednie zabezpieczenie i utrzymanie ich w różnym stopniu warunkuje powodzenie akcyi. Kluczem taktycznym nazywa się miejscowy przedmiot (góra, wioska i t. p.), którego strata utrudnia lub uniemożliwia obronę pozycyi lub jakiejkolwiek jej części. Przedmiot ów fortyfikuje się zwykle i obsadza silniej od innych. Część pozycyi, po za którą znajdują się drogi do odwrotu, lub która zabezpiecza swobodne podejście posiłków (tak zwana linia operacyjna), stanowi klucz strategiczny; utrata jego zmusza do opuszczenia pozycyi. Za kluczem strategicznym lub obok niego znajduje się zwykle rezerwa ogólna oddziału. Miejscowy przedmiot, mający znaczenie taktyczne i strategiczne jednocześnie, nabiera szczególnej wagi.

Szybkie zoryentowanie się w miejscowych terytoryalnych warunkach i właściwe określenie charakteru pozycyi, oraz odpowiednie do tego prowadzenie akcyi, ma rozstrzygające znaczenie dla atakującego i atakowanego. Jednym z najwybitniejszych przykładów tutaj służy bitwa pod Austerlitz. Przeczuwając uderzenie sprzymierzeńców na prawe skrzydło — linia operacyjna Wiedeń - Brünn, Napoleon zmienia ją na Jgłów-Passau i tym sposobem z góry unicestwia plan wrogów, nie wiedzących o tej zmianie. Niedostateczne zwrócenie uwagi sztabu sprzymierzonych na taktyczny klucz pozycyi — Pratzeńskie wzgórza — spowodowało wczesne zajęcie ich przez Napoleona, przerwanie centrum atakujących i ogólną ich klęskę. Mimo wszelkich szans zwycięstwa nad nieudolnym przeciwnikiem, Napoleon nie zapomina o zabez-

pieczeniu sobie odwrotu i część pozycyi przy drodze do Brünn obsadza najlepszym żołnierzem.

Atakując, nie należy nigdy zapominać, że przeciwnik również może atakować. Dlatego też pozycya, z której następuje atak, i uformowanie na niej wojsk powinno mieć charakter nietylko zaczepny, lecz i odporny. Również pod Austerlitz austryacka dyspozycya sztabowa, nie biorąca zupełnie pod uwagę, że Napoleon, mimo słabszej siły, może atakować, była jedną z głównych przyczyn przegranej. Dopóki wróg nie jest zupełnie rozbity, dopóki za odstępującą lub uciekającą częścią jego sił przewiduje się świeże wojska — nie należy nigdy w prześladowaniu pozbywać się szyku bojowego lub zmieniać go na inny. Za prześladującymi wroga oddziałami powinna posuwać się reszta wojsk w formie rezerw, na froncie odpowiednio szerokim i zajmować kolejno spotykane po drodze wygodne pozycye. Nie wyklucza to bynajmniej używania najenergiczniejszych środków wytępienia nieprzyjaciela. Japończycy pod Kinczou i Mukdenem na pozór grzeszyli brakiem tej energii, brak ten jednak był raczej krańcową ostrożnością, cechującą wszystkie ich akcye, oraz przecenianiem zdolności kierowników armii rosyjskiej. Ostrożność ta, choć nie pozwalała wyzyskać w całej pełni zwycięstwa, nie odbierała go jednak, co w historyi zdarzało się nieraz. Pod Marengo, kiedy Bonaparte był zupełnie prawie rozbity a generał Melas pisał już do cesarza raport o zwycięstwie, dowódca pościgu za Francuzami pozwolił sobie dla pośpiechu w marszu przekształcić szyk bojowy na pochodowy i uderzony niespodzianie z frontu i na skrzydle przez posiłki przeciwnika poszedł w rozsypkę, oddając zupełne zwycięstwo republikanom.

Taktyka i rozkład poszczególnych rodzajów broni na polu walki nie wchodzą w ramy dzisiejszego artykułu. Dla pewnego całokształtu trzeba jednak dodać kilka słów w tej kwestyi. 1. Piechota, ta prawdziwa „królowa boju“ — jak ją nazywają Francuzi — najgroźniejszy i najliczniejszy rodzaj broni, zajmuje najbliższą wroga linię frontu prawie wyłącznie oraz stanowi lwią część rezerwy ogólnej. 2. Artylerya, słaba bez piechoty, formuje się pod jej osłoną w głębi frontu, przeważnie na miejscach wzniesionych nad poziom terenu walki. 3. Konnica, niezdatna do boju z piechotą ani artyleryą, służy do ochrony skrzydeł jako straż, oraz pełni służbę wywiadowczą przed i w czasie bitwy; większe oddziały piechoty konnej (dragonów) działają czasem podobnie piechocie zwykłej i urządzają najazdy na tyły wroga w celach partyzanckich. Wojska inżynieryjne kierowane są tam, gdzie wymaga potrzeba użycia ich charakteru twórczego lub destrukcyjnego, bronią działają niezmiernie rzadko.

Jakkolwiek czysto wojskowa organizacya, znajomość wroga, umiejętne kierownictwo i dobra broń są niezbędne do zwycięstwa nad armią regularną, jednak braki w tem i liczbę walczących uzupełnić może ich nastrój bojowy. Historya zbrojnych walk wszystkich czasów potwierdza zdanie wielkiego psychologa - żołnierza Bonapartego: „C'est la force morale qui gagne les batailles“. (W bitwie zwycięża siła duchowa)... *Brunon Kostecki.*

BIBLIOGRAFIA.

Maurycy Mochnacki: Żywot i dzieła. Napisał Artur Śliwiński. Lwów 1910 (str. 400).

Autor tej książki, „pierwszej większej pracy, poświęconej literackiej i politycznej działalności Mochnackiego“, opowiada dzieje niezwykłego, genialnego człowieka. „Wielki esteta i krytyk, niezrównany stylista, dzielny agitator, żołnierz, nieustraszony trybun ludu, znakomity historyk, pierwszy pomiędzy pierwszymi publicysta“ — ileż to tytułów do nieśmiertelnej sławy, jaki wieniec zasług, szczególnie jeżeli się zważy, że Mochnacki umarł młodo, w 31-ym roku życia!

W krytyce i estetyce Mochnacki upamiętnił się jako największy u nas teoretyk romantyzmu, tej „insurekcyi literackiej“, jak sam nazywał nową poezyę. W polityce zabłysnął jako szermierz zasad rewolucyjnych, który przedziwnie umiał godzić zuchwały romantyzm celów z trzeźwym realizmem środków i dróg, jako nieubłagany krytyk — jasnowidz, w lot odgadujący i piętnujący Chłopickich, Czartoryskich, Lubeckich, jako bojownik wreszcie, który kilkakrotnie porywał się do ustanowienia silnej, iście rewolucyjnej władzy, do zrewolucyonizowania insurekcyi. W dziejopisarstwie Mochnacki zdobył wawrzyny swojem, niedokończonem zresztą, „Powstaniem Narodu Polskiego“ — arcydziełem historyi odczutej i przecierpianej, pod wrażeniem świeżych wypadków, na gorąco, namiętnie — że tak powiemy — przemyślanej, książką dramatyczną i głęboką.

Zaprawdę, rzadko się zdarza, aby jednostka wybitna łączyła w sobie tyle i tak różnostronnych zdolności. Nic dziwnego, że Artur Śliwiński krytyk — entuzyasta, pisze o Mochnackim z podziwem, z zapałem, z serdecznem uczuciem; w chwilach, gdy Mochnacki stoi na niezaprzeczalnej wyżynie nietylko jako pisarz, ale i jako człowiek — Artur Śliwiński

wskazuje go nam z dumą, z wewnętrznem rozradowaniem współczującego, głęboko bohaterem swoim przejętego historyka.

Ale na tem właśnie polega tragedya Mochnackiego, że jako człowiek nie umiał utrzymać się na wyżynie, że wielkości jego umysłu i zamiarów nie dorównywała siła charakteru. Jako 19-letni spiskowiec, osadzony w więzieniu, „ratuje się“ kompromitującemi innych zeznaniami i na żądanie inkwizytorów pisze referat, obrzydliwy referat, w którym dowodzi konieczności poskromienia prasy i szkoły polskiej. Po wypuszczeniu z więzienia, Mochnacki, ustępując naleganiom rodziny, która pragnęła uchronić go od dalszych prześladowań, zapisuje się — do biura cenzury, do kancelaryi osławionego Szaniawskiego. Wprawdzie urzędował tylko nominalnie, bo czynności cenzorskich unikał jak zarazy — ale łagodzi to tylko winę, nie usprawiedliwia małodusznego czynu. Mochnacki nie był tchórzem: dał świetne dowody nietylko odwagi cywilnej, stając do zażartej walki z uznanemi powagami literackiemi i politycznemi, ale i odwagi fizycznej, siedm zaszczytnych ran, jak gdyby dla rycerskiego okupienia grzechów spiskowca, odnosząc na polach bitew. Ale Mochnackiego duch nie był z hartownej stali, nie odznaczał się wytrwałością i niezłomną konsekwencyą. Gdy mury więzienne ostudziły gorączkę szermierza, gdy spryt inkwizytorów złamał jego ambicyę wyniosłą, Mochnacki stał się małym, bardzo małym. Śliwiński nie usprawiedliwia Mochnackiego, nie powołuje się na jego „młodość“, która w tego rodzaju sprawach ma być rzekomo okolicznością łagodzącą. Powołuje się tylko na późniejsze czyny, którymi Mochnacki okupił „straszny błąd młodości“. Ale i w tej późniejszej działalności było niejedno, co cień rzuca na charakter Mochnackiego. Śliwiński przyznać musi, że „Mochnacki, spadłszy ze szczytów powodzenia, nie umiał się zachować na nizinach zawodów i rozczarowań. Wielki jako tryumfator, nieporównany w walce, był bardzo pospolitym w upadku. Jako zwycięzca miał gest i styl, jako zwyciężony, sam dobrowolnie odzierał się z uroku wielkości“. Tak np., gdy Mochnacki po swojem śmiałem i proroczem wystąpieniu przeciwko Chłopickiemu musiał się ukrywać przed groźbą i szałem rozjątrzonego tłumu, wtedy znowu okazał się małym i słabym. W odezwach tłómaczył się pokornie i nieszczerze i wołał: Niech żyje generał Chłopicki! A potem, po powstaniu, na emigracyi Mochnacki dał znowu jaskrawy dowód „zgubnego niestatku politycznego“, jak wyraził się z gniewem Ludwik Nabielak — przerzucając się do obozu ks. Czartoryskiego, którego zaciekle zwalczał był przez cały czas powstania, i zaciekle napadając na „sektę demokratyczną“. Śliwiński mówi o „jakimś wewnętrznym niepo-

koju, który nieustannie Mochnackim miotał“, a następnie powiada: „Siła twórcza pchała go nieustannie naprzód i naprzód, kazała pogardzać tem, co zostawało po za nim“. Ale niestałość charakteru właśnie szkodziła „sile twórczej“ Mochnackiego, wywołując niespodziewane skoki i zboczenia, nagłe i dumne wznoszenia się, po których następowały sromotne upadki.

Artur Śliwiński nie ukrywa w analizie swojej błędów i słabych stron Mochnackiego. Ale w syntezie zapomina o nich i na końcu książki, rozstając się ze swym bohaterem, opromienia go wszystkimi blaskami i z goryczą mówi o jego „samotności“, o niesprawiedliwym do niego stosunku współczesnych. Zaznaczając, że „z czasem na grobie wielkiego pisarza stanął pomnik“, autor dodaje ironicznie: „Wdzięczni rodacy“ spełnili swoją powinność... Zdaje nam się, że tego rodzaju biadania, tego rodzaju wywyższanie „geniusza“ kosztem „tłumu“ jest tu zgoła nie na miejscu. Na Mochnackim mścił się straszny błąd „młodości“, mścił się później ten „zgubny niestatek“, który zrażał przyjaciół, budził nieufność u wszystkich, dawał broń w rękę przeciwnikom. Czy współcześni mogli o tem wszystkiem zapomnieć, czy mogli to wybaczyć? Surowo, ale słusznie pisał Nabielak na wieść o śmierci przyjaciela: „Jaka szkoda Maurycego pod względem litera-[...]! Ale pod względem politycznym i dla własnego imienia [...] kto wie, czy się nie lepiej stało“...

[...]irabeau był genialnym człowiekiem; ale gdy po śmierci [...]iedziano się o jego tajemnych stosunkach z dworem, [...] którą otrzymywał od króla, strzaskano bez litości [...]wielkiego człowieka i wyrzucono z Panteonu...

[...]ka Śliwińskiego pisana jest świetnie, językiem ży-[...]nym; opowieść zajmuje i przykuwa czytelnika od [...] końca; nastrojona jest na górny, szlachetny ton. [...]zem owocem sumiennych studyów, pilnego roz-[...]w czasopismach ówczesnych i w materyale rę-[...] Śliwiński zastrzega się w przedmowie, że nie [...]tensyi do wyczerpania bogatego przedmiotu. [...]dnak, że obszerniej i dokładniej nie wyłożył [...]ch pism Mochnackiego, zwałszcza zaś „Po-[...]Polskiego“. Rzeczy to dziś mało znane szer-[...] Byłoby zresztą bardzo pożądanem, żeby [...]e wydawca lub instytucya naukowa, któ-[...]a ponowne wydanie pism Mochnackiego. [...]c kultury polskiej, że tak mało znamy [...]politycznych XIX w., jak Mochnacki, [...]Lelewel i inni. *Res.*

Nowele Andrzeja Struga.

(„Ze wspomnień starego sympatyka". Cena 3 K 20 h. — „W twardej służbie". Cena 2 K 60 h. — Kraków, spółka nakładowa „Książka").

Znasz-li ten świat, gdzie życie wre podziemne, gdzie w twardej służbie wielkiej idei pędzą żywot, pełen trudów, walk i poświęceń, bojownicy jasnego jutra? Mrok tajemnic ich otacza i osłania przed oczyma tej masy zjadaczy chleba, która stanowi zewnętrzną, jawną skorupę współczesnego życia polskiego. W literaturze polskiej świat ów tajemniczy znalazł odzwierciedlenie w dziełach najpotężniejszych talentów. Żeromski, Sieroszewski, Daniłowski zstępowali do głębi i uchylali rąbka zasłony, okrywającej tajemnicą duszę pokolenia ludzi bezdomnych, podziemnych, budowniczych nowej, rewolucyjnej, robotniczej Polski. Niedawno pojawił się w piśmiennictwie naszem nowy malarz Polski podziemnej. Jest nim Andrzej Strug. Ma on wiele wspólnego z tamtymi, ale posiada mimo to indywidualność własną, wyróżniającą jego twórczość i zapewniającą mu w literaturze Polski socyalistycznej miejsce osobne.

Na czem polega odrębność fizyognomii literackiej Struga? Znamionują ją dwie cechy zasadnicze, jemu tylko właściwe.

Przedewszystkiem ukazuje on nam ów świat
zgoła perspektywy, niż go widzieliśmy w utworach
nionych wyżej poetów. Czytając rzeczy Struga,
wrażenie, że się nie wgląda w świat Polski
wnątrz, lecz że się jest w samem jego wnętrzu i
trzy na jego sprawy. To już nie margin
nie ludzie wyjątkowi, ani wyjątkowo wielcy, ani
dziwni, i nie kandydaci dopiero na ludzi podz
też ludzie przemocą od owego świata oderwani
odległości doń tęskniący, — to świat ten
istotniejszej swej codziennej rzeczywistości
życie partyjne, widziane zupełnie
szy człowieka, żyjącego całem swem jestestw
świata podziemnego, przy samem ognisku
skach, jakie rzuca to ognisko, oglądamy

Głównie jednak oglądamy dusze. Str
stanowi drugą znamienną cechę jego tw
strzem drobiazgowego malarstwa najsu
duszy ludzi podziemnych. Polski świa
w tej „Kleinmalerei" psychologicznej
życia uczuciowego z całem bogact
ścią jego przejawów.

Wszystkie te cechy artystycznej twórczości Struga ujawniły się odrazu już w pierwszej seryi jego „Ludzi podziemnych“. Potem przyszło „Jutro“, w którem owo „drobiazgowe malarstwo“ psychologiczne tak dalece wzięło górę, że ludziom obcym, nie ciekawym dokładnej historyi tych wszystkich, aż tak szczegółowych poruszeń duszy człowieka z cudzego im świata, może było i zadużo tego cyzelerstwa psychologicznego.

Ale oto ukazały się świeżo dwa nowe tomy, w których artyzm Andrzeja Struga objawił się tak dojrzale, tak potężnie, jak w pierwszej seryi, a może jeszcze potężniej. Wiedzie on czytelników w ów świat tajemniczy, narzuca im wytężone wsłuchiwanie się w tętno tego życia i zmusza ich ukazywanymi widokami kolejno smucić się i radować, przerażać i wzruszać.

A ukazuje obrazy różne, choć na jednem ogólnem tle, i ludzi rozmaitych, choć jednej sprawie służących. Każdy z nich inny: jeden „romantyk“, drugi doktryner, ten znów sentymentalny, miękki, ów stwardniały w twardej służbie, tamten trzpiot lekkomyślny, poczciwy, gorący, inny zaś spokojny nazewnątrz, milczący, systematyczny pracownik. Tu agitator wiejski, tam towarzyszka od „techniki“, tu „stary sympatyk“, ówdzie wygnaniec sybirski. Oto przejście przez granicę, tam zaś jakiś rozłam w partyi, to znów agitator „na urlopie“ z powodu choroby, gdzieindziej obrazek z dziejów agitacyi wiejskiej, lub tragiczny los ofiary prześladowań rządu carskiego. Słowem całe życie partyjne, wszelakie jego dziedziny i przypadłości, najrozmaitsze typy.

Największe w tym względzie bogactwo wykazują „Wspomnienia starego sympatyka“, odtwarzające wiernie ducha dziejów partyi w okresie dwudziestoletnim, od pierwszego „Proletaryatu“ aż do Grzybowa. „Wspomnienia“ te są wprost arcydziełem.

W tym samym tomie świetnie jest oddany w noweli „Z powrotem“ kontrast między dwoma typami tak częstymi w naszej partyi: romantykiem a doktrynerem; w „Odruchach“ zaś tragiczny obrazek prześladowań chłopów za należenie do partyi i świetna psychologia agitatora wiejskiego, w którego duszy na widok tych prześladowań budzą się w poczuciu bezsilności odruchy — marzenia...

Z tomu „W twardej służbie“ najpiękniejszą rzeczą jest „Sielanka“: świetna psychologia chorego „faceta“, którego dla poratowania zdrowia wysłano na wieś; a gdy na łonie przyrody przyszedł nieco do siebie i poznał życie bez troski, bez trudów powszednich, bez zdenerwowania — po miesiącu

sielanki otrzymuje wezwanie do powrotu w dawny . . . w dawną orkę; cała jego dusza przed tem się wzdryga, okropny zgrzyt wyrywa go z wczasów, do których tak przylgnął jego organizm, tak spragniony spokoju, przyrody i odrobiny szczęścia osobistego; „odejść nie mogę, choć słyszę wołające mnie duchy w inną stronę“; a jednak odchodzi ze swojej Kapuy i wraca, jak wierny żołnierz, w twardą służbę Sprawy...

„Prolog“ to sylwetka młodzieńca, który poszedł w swym rozwoju duchowym boczną ścieżką, manowcem, wiodącym pod czarny sztandar. Autor wyraźnie zaznacza, że swojej drogi nie identyfikuje z tem bezdrożem duszy samotnej, ale i tę duszę stara się — zrozumieć. W „Cieniach“ daje patologiczną psychologię towarzysza, który doszedł do zupełnego rozstroju nerwów pod wpływem konieczności ciągłego wystrzegania się; prześladuje go nieustannie, jak zmora, widmo, którego dopatruje się w każdym przechodniu, gdziekolwiek się znajduje; mania ta, w mniejszym stopniu tak częsta u ludzi zmuszonych żyć i działać w tak okropnie anormalnych warunkach, wyolbrzymiała tu do rozmiarów obłędu.

Niezwykle silne wrażenie, równie potężne jak „Wspomnienia starego sympatyka“, wywarła na mnie ostatnia nowela tego tomu: „Ostatnie listy“. Dwa listy, które się minęły w drodze. Jeden z Sybiru od wygnańca, którego czas powrotu się zbliża, drugi do tegoż wygnańca od narzeczonej, wyczekującej go z utęsknieniem przez długi szereg lat. On nie wróci: złamany wygnaniem, postanowił sobie życie odebrać. „Niech jednak mnie nie sądzą niesprawiedliwie! Niechaj powiedzą: miał prawo! O to mi idzie. Bo nie ginę samotny, zgorzkniały, z przekleństwem na ustach. Bo nie żałuję tego, co mnie na ten koniec sprowadziło. Ginę — bo to samo kocham, bo tego samego chcę, bo żyć dla mnie, to służyć — a już nie mam sił na służenie. Nie przydam się na nic Sprawie. Pocóż mi życie“. Komuż z pośród towarzyszów, czytających te tragiczne słowa, nie ściśnie serca głębokie wzruszenie?

Książki Struga, piewcy ofiarnych walk i bohaterskich cierpień, cichych tragedyj i serdecznych wiar ludzi podziemnych, są niepowszedniem zjawiskiem w literaturze polskiej, a szczególnie drogiemi staną się tym wszystkim, których serce bije dla owej wielkiej, jedynej Sprawy. *Emil Haecker.*

P o l s k a, o b r a z y i o p i s y. 2 tomy. Wydawnictwo „Macierzy Polskiej“ Nr. 83. Lwów, 1906—1909.

Świeżo dobiegło końca to zakrojone na szeroką skalę wydawnictwo „Macierzy Polskiej“. Mamy przed sobą dwa olbrzymie tomy (prawie 2.000 stron), bardzo ładnie pod względem zewnętrznym wydane, a zaopatrzone w przeszło 800 rycin. Wydawcom chodziło o zgromadzenie całokształtu wiadomości o Polsce i jej życiu w dzisiejszym rozwoju w formie popularnej, dostępnej dla bardzo szerokiego ogółu. Do współpracownictwa zaproszono z górą dwadzieścia osób, pracujących w odnośnych dziedzinach, i podano ich przyczynki w kształcie oddzielnych monografij, które stanowią całość bardzo ciekawą, encyklopedyę polską, jakiej literatura nasza dotąd nie posiadała. Mamy tu krajobraz polski, skreślony poetyckiem piórem Maryi Konopnickiej; geografię fizyczną Polski (dr. E. Römer); rys ludoznawstwa polskiego (Al. Jabłonowski i Jan Karłowicz); geografię historyczną Rzeczypospolitej; charakterystykę jej ustroju społecznego; jej historyę polityczną (A. Sokołowski); bardzo dobrze napisaną historyę literatury polskiej (K. Wojciechowski); dzieje sztuki w Polsce, przyczem każdy dział jest opracowany przez fachowego znawcę (F. Kopera, St. Tomkowicz, Zdz. Jachimecki); charakterystykę stosunków ekonomiczno-społecznych we wszystkich prowincyach dawnej Polski (A. Zakrzewski, St. Koszutski, St. Kempner, W. Studnicki i inni); wreszcie zarys wypadków ostatniego 5-lecia (1904—1908).

Nie miejsce tu na krytykę wszystkich tych prac. Jakkolwiek pomiędzy niemi są i słabsze i lepsze, bądź co bądź jednak każdy z powołanych do współpracownictwa autorów wywiązał się sumiennie ze swego zadania i — stosownie do swego stanowiska i uzdolnienia — dał rzecz, niepozbawioną wartości. Jedynym wyjątkiem jest p. Ludwik Finkel, profesor uniwersytetu lwowskiego, autor działu „Ostatnie lata 1904—1908“. Pan ten jest pod względem swoich przekonań ugodowcem endeckiego kierunku, to też nie możemy od niego żądać objektywnej oceny faktów, ani mieć pretensyi za hymny na cześć Spasowicza, biskupa Popiela, Kościelskiego i Andrzeja Potockiego. Ale możemy żądać, aby miał choć trochę pojęcia o rzeczach, któremi się zajmuje. Tymczasem ten „profesor“ ujawnia takie nieuctwo w dziedzinie znajomości stosunków zaboru rosyjskiego, jakiegoby się chyba wstydził każdy z jego słuchaczów na pierwszym roku. O ruchu socyalistycznym w swojej pracy p. Finkel stara się przemilczeć, a gdzie tego zrobić nie może, tam plecie takie duby smalone, że uszy więdną. W opisie wypadków w zaborze rosyjskim w latach 1904—1908 (str. 867—920) p. Finkel poświęca socyalizmowi i ruchowi robotniczemu aż... 32 wiersze, wypełnione takiemi

oto perłami mądrości profesorskiej: „Już w czerwcu r. 1904 doszło w Łodzi, w Zagłębiu Dąbrowskiem i w Warszawie do groźnych rozruchów, stłumionych krwawo przez policyę i wojsko. Przyczyniło się do tego niewątpliwie niepowodzenie ekonomiczne lat poprzednich (posucha r. 1901, powodzie r. 1903), ale w wywołaniu bezrobocia znać było wyraźnie obcą komendę, rękę konkurencyjną niemiecką, a może nawet działanie polityczne „pruskie“ (str. 874). Ubogi duchem profesorzyna, któremu ni stąd ni zowąd kazano pisać o sprawach politycznych, w swej bezdennej naiwności pakuje do pracy (mającej uchodzić za poważną) głupie plotki endeckie, bo przypadają one mu bardzo do gustu. Trzeba bowiem wiedzieć, że p. Finkel jest i „neosłowianinem“, reklamującym w swej pracy „bez zastrzeżeń“ ten szwindel Stołypina i S-ki. Dalej p. Finkel rozwodzi się nad opłakanym stanem przemysłu Królestwa Polskiego i jego robotników, wywołanym tu „intrygą pruską“ i oświadcza, że „nieomieszkały z tego stanu rzeczy korzystać związki rewolucyjne“. Jakież to były „związki“ i czego chciały? P. Finkel nas poucza: „Partye socyalistyczne, jedna międzynarodowa t. zw. Socyal-demokracya (pod komendą niemiecką), druga najliczniejsza i najczynniejsza z zabarwieniem narodowem t. zw. socyalna demokracya Królestwa Polskiego i Litwy — poczuwały się do solidarności z robotniczym ruchem rosyjskim, a strejki tam (?) ogłaszane znajdowały posłuszne echo w ogniskach fabrycznych Królestwa Polskiego. Do nich przyłączył się żydowski „Bund“, walczący o uprawnienie żydów w Rosyi, a złożony z najskrajniejszych żywiołów“ (str. 374). Z tego sojuszu wynikło „zamieszanie jeszcze większe niż w Rosyi“, no i w końcu „bandytyzm najpospolitszego gatunku, który, jak zmora, zawisł nad ludnością“ (str. 375). Na następnych stronach nic już o socyalistach i ruchu robotniczym nie spotkamy, dalej idą „jasne karty“ działalności endecko-ugodowo-klerykalnej, na cześć której p. Finkel pieje swe hymny. Tak się pisze historya — i to przez historyka fachowego“! Należy żałować, że „Polska“ — dzieło, które tyle zachodów i kosztów pochłonęło, zostało — nie wahamy się użyć drastycznego wyrażenia — spaskudzone przez nieuka, co się wziął do rzeczy, o której nie miał żadnego pojęcia. *St. O.*

„Otkliki Bunda“.

(Wydawnictwo Komitetu Zagranicznego Bundu. Nr. 2).

W swoim czasie pisaliśmy obszernie o tem piśmie („Prz.“ Nr. 5, art. „Galwanizowanie trupa“), omawiając treść jego pierwszego numeru. Teraz ukazał się Nr. 2, prawie

w całości poświęcony kwestyi narodowościowej — zagadnieniu, które obecnie u zagranicznych rozbitków „Bundu“ usuwa w cień wszystkie inne sprawy. Podwójny charakter — rosyjski i żydowski — inteligencyi bundowskiej, dla której przeznaczony jest omawiany organ, zmusza go do zajmowania się kwestyą narodowościową i na tle rosyjskiem i na podłożu żydowskiem.

„Otkliki Bunda“ zajmują się nacyonalizmem rosyjskim w dwóch artykułach omawianego numeru. Pierwszy jest poświęcony kierunkowi nacyonalistycznemu, coraz bardziej potężniejącemu wśród liberalnej inteligencyi rosyjskiej, a znajdującemu swój wyraz w głośnych wystąpieniach Struwego, Gołubiewa, Milukowa i t. p. ideologów postępowej inteligencyi i burżuazyi rosyjskiej. Publicysta bundowski podnosi znaczenie polemiki wyżej wzmiankowanych i innych pisarzy liberalnych jako próby postawienia kwestyi rosyjskiej. „O rozstrzygnięciu kwestyi narodowościowej w Rosyi niema co mówić, dopóki rdzenna narodowość rosyjska nie stała się równą między równemi, dopóki ona, jeśli się tak wolno wyrazić, nie została zdegradowana, pozbawiona wszystkich specyalnych praw, rang, tytułów i orderów, związanych z przywilejem „państwowości“ — powiada publicysta „O. Bundu“. „Ale, aby wstąpić na tę drogę, prowadzącą do wyrzeczenia się ekstra-uprzywilejowanego położenia, narodowość rosyjska powinna przedewszystkiem określić sama siebie, przejść przez stadya pewnej narodowej świadomości“... „Można rozważnie zapatrywać się na możliwość takiej ewolucyi dla narodowości rosyjskiej, ale niepodobna zaprzeczać, że droga do realnego równouprawnienia narodowości w Rosyi prowadzi tylko przez wyrzeczenie się narodowości rosyjskiej przywilejów państwowych; albo narodowość rosyjska straci swój państwowy charakter i wejdzie z prawami równego do rodziny narodów, wchodzących w skład ludności Rosyi, albo prawdziwego równouprawnienia nigdy nie będziemy mieli“.

Publicysta „Bundu“, uważający osiągnięcie prawdziwego równouprawnienia narodowości w Rosyi bez zmiany jej granic za rzecz możliwą, zapatruje się na obecny ferment nacyonalistyczny wśród inteligencyi rosyjskiej jako na „stadyum“, umożliwiające zapanowanie kiedyś tam raju narodowego na przestrzeni dzisiejszego państwa carów. Bodaj to optymizm bundowski wobec Rosyi! Patryotyzm wszechrosyjski tak głęboko tkwi w duszy każdego bundowca, że nie może on sobie przedstawić ewolucyi Rosyi inaczej, jak w formie przekształcenia się jej na raj ziemski. Skutkiem tego widzi on zadatki owego rajskiego pożycia nawet w tych objawach (jak

wzrost nacyonalizmu), które wszędzie, na całym świecie, oznaczały i oznaczają zbliżenie się ery największych prześladowań narodowości niepaństwowych.

Wierząc, że narodowość rosyjska dokona owej pożądanej „degradacyi" i przekształci się z narodowości państwowej na „równą między równemi", publicysta bundowski na początek proponuje odbyć tę ewolucyę partyi wszechrosyjskiej, do której „Bund" należy. Bundowcy obecnie przyszli do przekonania, że „S. D. partya robotnicza Rosyi" zawsze była „najbezmyślniejszym na świecie organizmem partyjnym". Zupełnie słuszny wniosek, ale nie należy zapominać, że ten „najbezmyślniejszy na świecie organizm partyjny" został stworzony nie przez kogo innego jak właśnie przez „Bund". Publicysta „Otk. B." powiada: „S. D. P. R. Rosyi, jak wiadomo, pierwotnie utworzona została z narodowej organizacyi proletaryatu żydowskiego, Bundu, i kilku miejscowych organizacyj, pracujących wśród robotników rosyjskich, organizacyj luźnych, zupełnie między sobą niezwiązanych. „Bund" i te narodowo obojętne grupy, (składające się jak narodowe, również z żydów oraz z Polaków, Rosyan itd.) wytworzyły partyę „Rosyi" (rossijskaja), gdy tymczasem „rosyjskiej" (russkaja) części partyi właściwie nie było. Z czasem do S. D. P. R. Rosyi przyłączyły się jeszcze dwie narodowe partye esdeckie — łotewska i polska — zachowujące autonomię. Tymczasem reszta partyi, po dawnemu mająca pretensyę do rosyjskości, w gruncie rzeczy pozostała narodowo obojętną mieszaniną (Rosyanie, Gruzini, Ormianie, żydzi, socyaliści muzułmańscy i t. d.)".

Rosyjskiej części w partyi jak niema, tak niema i publicysta bundowski niedwuznacznie żąda, aby powstała ona wreszcie dla wyjaśnienia sytuacyi i prawidłowego postawienia kwestyi narodowościowej w programie partyjnym. „Socyalna demokracya rosyjska stawiała kwestyę narodowościową tylko jako kwestyę narodowości uciskanych, jako kwestyę praw ich w stosunku do państwa, którego polityka zbudowana jest na ucisku narodowym, choć o stosunku wzajemnym narodowości uciśnionych, ani o narodowości rosyjskiej, w imieniu której państwo prowadzi swą politykę narodową, nie było mowy. Mówiło się o nieznanych, a ponieważ naród rosyjski nie znajdował się w liczbie uciskanych pod względem narodowym, to uważano za rozumiejące się samo przez się, że dla niego kwestya narodowościowa nie istnieje. W schemacie narodowościowym socyalnej demokracyi rosyjskiej narodowość rosyjska nie otrzymała żadnego miejsca, ignoruje się ona w nim zupełnie, dlatego też rozlała się wszędzie, dlatego też przenika

ona tak jej budowę jako całość, jak i każdy jej szczegół. Wypędzona ze schematu, narodowość rosyjska powróciła do niego, niezauważona przez schematyków, wypełniła wszystkie jego pory i utrwaliła w nim swe panowanie“.

Autor artykułu, któryśmy omówili, stawia kwestyę ostro i domaga się podniesienia zagadnienia „narodowości rosyjskiej“ tak w Rosyi, jak i w miniaturowem odbiciu potwora wszechrosyjskiego — S. D. P. R. Rosyi. Innego zdania jest autor drugiego artykułu, poświęconego mniej więcej tej samej kwestyi. Boi się on zupełnie słusznie rozbudzenia nacyonalizmu rosyjskiego i woli nie budzić go tam, gdzie się jeszcze nie ujawnił, bo z instynktami narodowymi nie można żartować. Jest to materyał zanadto palny. Zapaliwszy się raz, szukają dla siebie żeru. I, jeśli nie znajdują go w świecie zadań postępowych, to karmią się innemi. W sferze narodowości państwowej linia najmniejszego oporu dla uczucia narodowego — to osławione „odpychanie“, to marzenia o „p i e r w s z e ń s t w i e między równymi“, dobrze jeszcze, jeśli „między równymi“. Czem są marzenia o państwowości (dierżawnosti)? „Jest to zwierzęce oblicze wojującego nacyonalizmu w przyzwoitej formie“.

A więc lepiej nie ruszać i nie budzić nacyonalizmu narodowości państwowej, bo to niebezpieczne. Co innego nacyonalizm narodowości niepaństwowej, uciśnionej. Tu nie potrzeba się krępować. To też autor artykułu p. t. „Uciskani drapieżnicy“ z całą furyą występuje przeciwko nacyonalizmowi polskiemu i jego przedstawicielowi — słuchajcie! słuchajcie! — S. D. K. P. i L. Pokazuje się, że nasi esdecy w sprawie głosowania esdeków wszechrosyjskich przeciwko wnioskowi Dymszy postąpili jak — nacyonaliści i do tego — antysemici. „Koło polskie“ wraz z Dymszą popełnili tę niesłychaną zbrodnię, że mówili o prawie Polaków do zajmowania posad rządowych w Królestwie, nie mówiąc o „innych narodowościach“ i — zdaniem autora artykułu — frakcya dumska słusznie postąpiła, odmawiając Polakom tego prawa. Ale oto S. D. K. P. i L. stanęła na tem samem zbrodniczem stanowisku, co p. Dymsza, albowiem Główny zarząd grupy Róży Luksemburg oświadczył: „widzimy — w odróżnieniu od s. d. frakcyi dumskiej — „ciasnotę“ „żądania“ Koła polskiego n i e w t e m, „że żądanie to było skierowane ku dobru Polaków z wyłączeniem innych narodowości“. Stanowisko to jest w oczach publicysty bundowskiego takiem, że wprost nie wie on, jak je nazwać. „Zaprawdę uderzającą jest ta stanowczość — pisze nacyonalista bundowski — z jaką polscy esdecy pragną (i żądają tegoż od frakcyi) oceniać kwestyę t y l k o ze stanowiska p o l s k i c h

interesów narodowych". — „Czy rozumieją oni — pyta bundowiec — jaką niesłychanie głęboką demoralizacyę zdolna jest wywołać wśród robotników polskich taka kombinacya, kiedy w odpowiedzi na protest dumskich s. d. przeciwko „wyłączeniu innych narodowości", wodzowie polskiej S. D. oświadczają: w tem niema ciasnoty. Albowiem wniosek z tego może być tylko jeden: „niech wyłączają"... I tu idzie szereg gorzkich wyrzutów naszym esdekom, którzy nie myśleli o zagadnieniu narodowościowem, nie rozumieli go i oto teraz wskutek tego „pochłonięci są staraniem o rzeczywistej obronie — honoru polskiej narodowości". Okropność!!! Ale mało tego, na gruncie antysemityzmu między S. D. K. P. i L. a Daszyńskim zapanowała „wzruszająca i znamienna solidarność".

Człowiek czyta i własnym oczom nie wierzy, czy to wszystko jest pisane na seryo, czy stanowi stek kpin ze zdrowego rozsądku, czy zgoła bełkot niepoczytalnego człowieka, opanowanego iście bundowską nienawiścią do Polski i wszystkiego polskiego, nie wyłączając S. D. K. P. i L. Nienawiść ta bucha jasnym płomieniem z reszty artykułu omawianego, która jest poświęcona antysemityzmowi w Polsce. Ten antysemityzm, który, jak już wiemy, opanował Różę Luksemburg, Warskiego i innych ich współwyznawców, w Polsce jest rysem znamiennym wszystkich kierunków — od konserwatywnego do socyalistycznego. Pogromy rosyjskie to głupstwo wobec „specyficznego ruchu kooperacyjnego" u nas, wbijanie żydom gwoździ w głowę — to nic w porównaniu ze szlachecką pogardą do „żydka". Ale i to jeszcze fraszka. „Polscy nacyonaliści nic nie mają przeciwko zniesieniu strefy osiadłości i my doczekamy się jeszcze być może ich wystąpienia w obronie zdeptanych praw żydów; ale oni ich będą (jeśli będą) bronić o tyle, o ile zniesienie strefy osiadłości odciągnie zbyteczną liczbę żydów z Polski; środek liberalny potrzebny im jest tylko po to, aby uwolnić się samym od żydów. Zresztą, gotowi są oni tolerować żydów i u siebie w domu, ale z jednym warunkiem — i ten warunek stawiają z zupełną określonością: niech żydzi staną się Polakami; żyd, pozostający żydem, dla nich jest nie do przyjęcia, a ponieważ żydzi Polakami się nie stają, to tem gorzej dla nich". Umyślnie przytoczyliśmy zdanie, będące odbiciem przekonań, propagowanych i przez burżuazyjną prasę litwacką u nas w kraju, a uznawanych przez zagranicznych kierowników „Bundu" za własne. Warto się zapoznać z antypolskim nacyonalizmem bundowców i skonstatować, że jest bliźniaczo podobny do burżuazyjno-warszawskiej prasy żargonowej. Pomiędzy nimi zachodzi chyba ta tylko różnica, że warszawscy

pisarze żargonowi nie wpadli jeszcze na pomysł szukania antysemityzmu u naszych esdeków.

Reszta numeru „Otk. B.“ nie zawiera ciekawszego materyału. Korespondencye lokalne świadczą w dalszym ciągu o nicości wpływów „Bundu“ w kraju. *L. Pł.*

Kalendarz Robotniczy na r. 1910. Wydawnictwo P. P. S. D. Galicyi i Śląska. Nakładem „Naprzodu“. Cena 80 h.

Jak zwykle, kalendarz towarzyszy naszych z zaboru austryackiego odznacza się bogatą treścią i estetycznem wykończeniem. Zaradzono nawet jedynemu brakowi, który wytknąć mogliśmy roku ubiegłego — nie dość trwałemu zeszyciu, tak, iż dziś czytelnik dostaje książkę i ładną i trwałą. Na treść złożyli się Daszyński (wspomnienia z pobytu w więzieniu Pułtuskiem), Woszczyński, Kostecki, Gierszyński Stanisław, Antoni Piotrowski, H. Orsza i inni, nie licząc przedruków z Żeromskiego, Tetmajera, tłómaczeń z Cunowa, Pannenkoeka i t. p.

Szkoda, że Kalendarz Rob. nie rozporządza dostatecznymi środkami, aby wprowadzić bogatszy dział informacyjny, który zrobiłby zeń dzieło, konieczne dla każdego towarzysza. Dane statystyczne o ludności, ilości robotników, stanie organizacyi robotniczej w 3 zaborach, pismach i stowarzyszeniach i t. p. — uczyniłyby z kalendarza coś w rodzaju Labour Annual'ów, wydawanych w Anglii. Miejmy nadzieję, że i to kiedyś nastąpi.

Kalendarz Robotniczy na rok 1910. Drukiem J. Biniszkiewicza i Ski („Gazeta Robotnicza“), Katowice.

Na treści kalendarza, wydanego przez towarzyszy naszych z zaboru pruskiego, wyraźne piętno położyły stosunki społeczne tego kraju. Ruch socyalistyczny rozwija się tam przedewszystkiem na Górnym Śląsku, prowincyi o niezmiernie wysoko rozwiniętym kapitalizmie, gdzie podział społeczeństwa na dwie wrogie sobie klasy społeczne dalej jest posunięty, niż w jakiejkolwiek innej ziemi polskiej. To też cały kalendarz jest jedną wielką skargą proletaryusza śląskiego, któremu życie piekłem jest i który tylko od społecznego wyzwolenia oczekiwać może ludzkiego losu. Opisy mordów masowych, spowodowanych przez zmysł oszczędności kopalnianych magnatów, wiersze Konopnickiej i Gliszczyńskiego, obrazowe przedstawienia skutków podatków na przedmioty pierwszej potrzeby, a obok tego zwięzłe streszczenia zasad socyalizmu, wskazówki, jak się zachowywać wobec urzędów ochrony pracy — oto główna treść kalendarza,

który jako materyał agitacyjny, jako książka, ciągle przypominająca robotnikowi jego bóle i cierpienia — doskonale może być używany.

Słabą stronę kalendarza stanowi brak artykułów, omawiających wielorakie formy ucisku politycznego w zaborze pruskim i zupełne pominięcie kwestyi ucisku narodowego, odgrywającej taką rolę w ziemiach polskich państwa niemieckiego. Przykład Śląska austryackiego, gdzie socyaliści polscy, dzięki swej niezmordowanej akcyi o prawa narodowe, stali się przodującem stronnictwem politycznem, powinienby pouczyć towarzyszy z G. Śląska, że sprawy tej pomijać nie można. Przytem, faktycznie nie jest ona bynajmniej przez nich w walce codziennej pomijana, i tylko w kalendarzu nie została — zapewne przez przeoczenie — uwzględniona.

Na końcu znajdujemy spis stowarzyszeń i innych organizacyj robotniczych polskich, z którego dowiadujemy się, że zabór pruski liczy obecnie 39 politycznych stowarzyszeń socyalistycznych, mianowicie: na Górnym Śląsku 23 (10 w okręgu Katowice-Zabrze, 13 — Bytom-Tarnowskie Góry), w Poznańskiem — 3 i na wychodźtwie (Westfalia, Berlin etc.) — 13. W porównaniu z tem, co było przed 4—5 laty (za rządów Wintera i t. p.), jest to postęp olbrzymi.

„Głos Kobiet“, organ P. P. S. D. Galicyi i Śląska, zamieniony został z miesięcznika na dwutygodnik, przyczem powiększono format. Jedyne to pismo, poświęcone sprawie agitacyi socyalistycznej wśród kobiet robotnic na ziemiach polskich, spełniać będzie mogło odtąd swe pożyteczne zadanie z daleko większem powodzeniem. „Gł. Kob.“ przestaje jednocześnie być dodatkiem do „Robotnika Śląskiego“, i może być abonowany za 2 kor. 20 hal. rocznie. Redaktorką „Gł. Kob.“ jest tow. D. Kłuszyńska (Bogumin I, Hotel Austrya).

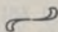
LUŹNE NOTATKI.

Neoslawizm. ☐ Prowokatorowie esdeccy. — Edw.: Ferrer. — Echa sprawy wniosku posła Dymszy. — Strejk powszechny w Rewlu. — Ciekawe cyfry. — Jakucki ruch narodowy. — Proces Steinheilowej. — Proletaryat i walka narodowa. — Rewolucya wojskowa w Grecyi.

Neoslawizm, który i swym wyznawcom polskim i całemu narodowi tylko wstyd i hańbę dotąd przyniósł, nie myśli bynajmniej ustępować z widowni politycznej. Zachęciło go do tego „zbratanie“ polsko-czeskie, które nastąpiło z okazyi wystawy częstochowskiej, a przyniosło sprytnym i praktycznym „pobratymcom“ z Pragi i Berna

kilka milionów rubli pod postacią zamówień na towary czeskie. Pod wpływem tych zamówień ogromnymi zwolennikami neoslawizmu stali się również Czesi, którzy jednocześnie z całym spokojem czechizują na potęgę Polaków na Śląsku austryackim.

Te oto wzniosłe pobudki wpłynęły na urządzenie w Przerowie zjazdu „przedstawicieli" narodów słowiańskich, mającego obradować nad urządzeniem wszechsłowiańskiej wystawy sztuki. I tu naraz okazało się, że wszyscy ci Słowianie dbają tylko o swoją kieszeń. Propozycya polska urządzenia „Wystawy Grunwaldzkiej" w r. 1910, dla uczczenia największego zwycięstwa Słowian nad Germanami, została odrzucona, gdyż przypominałaby ona istnienie państwa polskiego, a to oczywiście nie może podobać się Rosyi. Od udziału w takiej wystawie usunęli się Słoweńcy, Słowacy, Kroaci, Serbowie, Bulgarzy, pozostali jeno Polacy i oczywiście Czesi, którzy pojadą wszędzie, gdzie kto zechce oglądać próbki ich sukien. „Grunwaldzka" uroczystość pozbawiona została w ten sposób wszelkiego „wszechsłowiańskiego charakteru", a dopiero od r. 1911 zaczną się wystawy słowiańskie, w „jednej ze stolic słowiańskich" (oczywiście — w Moskwie), na którą i nasi żądni rubli patryoci poślą swe wytwory.



Prowokatorowie esdeccy. Wszyscy pamiętamy tę obrzydliwą kampanię, jaką prowadziły grupy esdeckie przeciwko partyi Socyalistów Rewolucyonistów rosyjskich po wykryciu roli prowokatorskiej Aziewa. Esdecy nasi, rosyjscy i bundowscy zbudowali nawet teoryę, na mocy której prowokacya w szeregach socyalistów-rewolucyonistów jest czemś naturalnem i nieuniknionem, gdy ruch esdecki jest dla niej niemal niedostępny. Róża Luksemburg wykazała „naukowo", że prowokatorowie w partyach, używających teroru, są szkodliwi, gdy przeciwnie, prowokatorowie u esdeków przynoszą nawet ruchowi korzyści. Tymczasem po wykryciu prowokacyi w partyi S. R. tow. Burcew zabrał się do śledzenia prowokatorów esdeckich i wykrywania ich „pożytecznej" roli. Praca jego nie była bezowocną i dała wręcz nieoczekiwane rezultaty. Pokazało się, że wśród esdeków prowokatorowie rządowi pracowali z taką samą energią i również długo, jak Aziew, Żuczenko i inni. Oto w Nr. 2 organu tow. Burcewa „Obszczeje Dieło" ogłoszone zostało nazwisko prowokatorki, która, jak pisze to wydawnictwo, wzięła rekord co do długoletniości swej „pracy" w Ochranie. Jest to niejaka A n n a S i e r e b r j a k o w a (Rjeszczykowa). Kiedy wstąpiła do „Ochrany", dokładnie nie wiadomo, ale stwierdzić się udało, że już w r. 1885 tam służyła, jako prowokatorka. Zasługi jej bardzo ceniono w „Ochranie", gdyż jako członek organizacyi S. D. i „Czerwonego Krzyża" w Moskwie, cieszyła się wielkiem zaufaniem rewolucyonistów. W ciągu paru dziesięcioleci gubiła wszystkie przedsięwzięcia rewolucyjne w Moskwie. Ma obecnie przeszło 50 lat i znana jest w „Ochranie" pod przezwiskiem „Mamasza". Drugim wybitnym prowokatorem, wykrytym przez tow. Burcewa, jest bundowiec, jeden z wybitniejszych działaczy „Bundu" I z r a e l-M i c h e l K a p l i ń s k i (ps. „Langsam" i „Langer"). Kapliński należał od r. 1893-go do żydowskich kółek socyalistycznych w Wilnie i wkrótce, dzięki swym zdolnościom, stał się jednym z kierowników ówczesnego ruchu. W latach 1896—97 wchodził w skład tej grupy robotników i inteligentów, która kierowała całym ruchem i założyła niebawem „Bund". Kapliński był założycielem pierwszej żydowskiej, nielegalnej drukarni. On też założył centralny organ „Bundu" — „Arbeiterstimme" (w lecie 1897 r.),

Kapliński był również uczestnikiem tego zjazdu (we wrześniu 1897 r.), na którym założono „Bund“. Nie należąc do Centralnego Komitetu, Kapliński stał jednakże w samem centrum ruchu, oddając nowej partyi usługi jako organizator jej techniki centralnej. Aresztowany w drukarni, Kapliński dostał się do rąk Zubatowa i w końcu roku 1899-go wyszedł na wolność jako „tajny współpracownik“ Ochrany z pensyą 75 r., którą mu następnie podwyższono do 100 i 125 r. miesięcznie. Kaplińskiego ceniono w Ochranie nadzwyczajnie i, byle go nie skompromitować i nie stracić, działano nadzwyczaj ostrożnie. I oto w ciągu 10 lat Kapliński działa w „Bundzie“, zajmując się specyalnie organizowaniem drukarń, w tej liczbie i dla rosyjskich organizacyj. Mijały lata, Kapliński cieszył się zupełnem zaufaniem kierowników „Bundu“, a Ochrana wiedziała o wszystkiem, co tylko wiedział Kapliński, który w ten sposób stał się wobec „Bundu“ tem, czem był wobec partyi S. R. Aziew. Komitet Centralny „Bundu“ wydał zawiadomienie, w którem ogłasza Kaplińskiego za prowokatora. Wobec tego wiadomość prasy legalnej, która z niewiadomych powodów puściła pogłoskę, że „tym razem“ Bakaj i Burcew omylili się, jest tendencyjnie kłamliwa.

Ferrer, którego stracenie taką burzę wywołało w całym cywilizowanym świecie, był — o czem zapewne mało towarzyszy naszych wie — pod względem politycznym zdecydowanym przeciwnikiem socyalizmu. Socyalista francuski A. Morizet, który znał go osobiście, opisuje go w „Humanité“ paryskiej, jako anarchistę o dość niewyraźnych poglądach, który sądził, że Hiszpania stoi przed rewolucyą socyalną. Pogląd, jakoby kraj jakiś musiał dojrzeć ekonomicznie, by módz dokonać przewrotu społecznego, nazywał F. „marksowskim żarcikiem“. Nie przeszkodziło to bynajmniej towarzyszom hiszpańskim ująć się za nim z całą stanowczością, nie przeszkodziło też socyalistom innych krajów z taką energią protestować przeciwko zamordowaniu tego swego przeciwnika, że aż pod naciskiem międzynarodowej opinii publicznej upadło w błoto ministeryum, które mordu dokonało. I gdy się zestawi to postępowanie socyalistów świata całego ze słowami esdeków „polskich“, nie wahających się na 2 tygodnie przed procesem Bezdańskim nazwać naszych bojowców zwykłymi złodziejami, — to się dopiero widzi, jaka istnieje różnica między marksizmem prawdziwym a jego karykaturą, bezczeszczącą na stronicach „Przeglądu Socyaldemokratycznego“ tę szczytną teoryę.

Echa sprawy wniosku posła Dymszy. Do licznych objawów, wskazujących, że rozsądniejsi esdecy, nawet głosząc publicznie co innego, rozumieją, jak błędnem było zachowanie się ich partyi w sprawie wniosku p. Dymszy, przybywa jeszcze jeden, zakomunikowany nam przez naszego korespondenta petersburskiego:

W lecie r. b. jeden z członków Zarządu Głównego „S. D. K. P. i L.“ zwrócił się do petersburskiej „grupy współdziałania“ tej partyi (g r u p p a s o d i e j s t w i j a) z propozycyą, że byłoby pożądanem utworzenie grupy, składającej się z soc. dem. Polaków, którąby informowała frakcyę parlamentarną rosyjskiej S. D. o kwestyach polskich, mających być omawianemi w Dumie. Informacye takie uważano za potrzebne, aby na przyszłość uniknąć tak niepożądanych wypadków, jak sprawa z projektem p. Dymszy. Ponieważ jednak sympatyków S. D. K. P. w Petersburgu nie posiada, a studenci esdecy nie czuli się na siłach do podołania podobnemu zadaniu, więc zorganizowanie takiej grupy spełzło na niczem.

Strejk powszechny w Rewlu. Pomimo „wzmocnionej ochrony“ i reakcyi powszechnej, o kilka zaledwo godzin koleją od Petersburga, w stolicy Estonii Rewlu, udało się towarzyszom estońskim zorganizo-

wać strejk powszechny, jako demonstracyę protestu przeciwko zamordowaniu przez policyę rosyjską czterech towarzyszy i towarzyszek, zabitych podczas manifestacyi robotniczej. Strejk odbył się w rocznicę mordu, dnia 29 października. Wzięło w nim udział 6.734 robotników i 1.571 robotnic, co na 66.000 mieszkańców Rewla jest ilością wprost imponującą.

Objaw ten tembardziej jest sympatyczny, że ruch socyalistyczny wśród Estonów bardzo świeżej jest daty. Pamiętamy jeszcze, jak w lecie r. 1904, kiedy nasz C. K. R. robił gorączkowe usiłowania, aby rozdmuchać ruch rewolucyjny w państwie rosyjskiem, zwróciliśmy między innemi uwagę i na Estonów i szukaliśmy kogoś, ktoby mógł ułożyć odezwę po estońsku i przetłómaczyć na ten język bodaj „Kto z czego żyje“. Usiłowania nasze do niczego wówczas nie doprowadziły. Tymczasem dziś kraik ten (Estonów jest nie cały milion) daje tak rzadki w chwilach obecnych przykład otwartego wystąpienia przeciwko caratowi!

Ciekawe cyfry. W „Społeczeństwie“ warszawskiem p. M. Gruell zamieszcza bardzo interesującą korespondencyę z pow. pieczorskiego, gub. Archangielskiej, dotyczącą zesłańców miejscowych, których tam jest obecnie 175. Tablice statystyczne, w które jest ta korespondencya zaopatrzona, ogarniają całokształt danych tak o życiu miejscowem, jak i o osobistościach wygnańców. Wśród tych tablic, jedna jest niezmiernie charakterystyczną. Ilustruje ona bowiem ewolucyę przekonaniowo-partyjną zesłańców od początku ich udziału w ruchu, aż do chwili dzisiejszej. Tabliczka ta wykazuje kto do jakiego kierunku należał przy wstąpieniu do działalności społecznej, kto czem był przy ostatniem aresztowaniu i wreszcie z jaką partyą sympatyzuje w chwili obecnej. Pomijamy tu grupki drobne (anarchistów, tołstojowców, machajczyków i t. d.), przyjrzymy się tylko większym ugrupowaniom partyjnym.

	Przy wstąpieniu do dział. społ.	Przy ostatn. aresztowaniu	W chwili obecnej
S. R.	48	58	60
S. D. ros.	38	24	25
Bund	14	9	8
S. D. K. P. . . .	6	5	4
P. P. S. (lewica) .	14	2	1
P. P. S. F. R. . .	4	12	14

Widzimy z tych cyfr, że największe straty wskutek przechodzenia do innych partyj ponoszą S. D. P. R. Rosyi i Bund i że Fr. Um. zanika prawie zupełnie skutkiem skupiania się wszystkich p. p. s-owców przy ideologii Frakcyi Rewolucyjnej.

Byłoby bardzo pożądanem mieć analogiczne dane z innych miejsc zsyłki.

Jakucki ruch narodowy. Bardzo ciekawe a zupełnie nieznane wiadomości podaje białoruska „Nasza Niwa“ o pierwocinach ruchu narodowego u Jakutów, ludu barbarzyńskiego, zamieszkującego olbrzymi (3½ milionów wiorst kwadr.) kraj północnej Syberyi. Wszystkich Jakutów jest do 250.000 osób. Lud ten odznacza się wielką żywotnością i nietylko nie wymiera, jak inne szczepy tubylcze Syberyi, ale nawet asymiluje osiedleńców rosyjskich, wśród nich zamieszkałych. Jakuci, obdarzeni znacznym sprytem, zagarniają w swe ręce handel. Posiadają oni też i garstkę własną inteligencyi — nauczycieli, felczerów, pisarzy po biurach i t. d. W r. 1905-tym inteligencya ta założyła stowarzyszenie „Związek jakucki“ pod hasłem „Jakucki kraj — dla Jakutów“. „Związek jakucki“ wystawił żądanie samorządu krajo-

wego, miejscowego sądu, oddzielnych posłów do Dumy, reformy agrarnej i t. d. Komitet Centralny „Związku“ wydał odezwę z temi żądaniami. W tym samym 1905 r. powstało w Jakucku stowarzyszenie oświatowe, które założyło szereg szkół z jakuckim językiem wykładowym i opracowało projekt jakuckiego seminaryum nauczycielskiego. W końcu r. 1906-go Jakuci założyli własny klub w Jakucku; wygłoszono tam odczyty w języku jakuckim. W ciągu zimy 1906—1907 r. odbywał się w Jakucku przedstawienia teatralne w języku jakuckim, na które przybywała ludność z najdalszych wiosek okolicznych. Powstał rękopiśmienny organ patryotyczny w języku jakuckim „Sacha Kułuhun Sasana“ (Gawędy klubu jakuckiego), który został niebawem zastąpiony przez drukowaną w części po jakucku, w części po rosyjsku gazetę „Jakucki kraj“.

Samo się przez się rozumie, że wszystkie te usiłowania cywilizacyjne spotkały się z jaknajnieprzychylniejszem stanowiskiem rządu rosyjskiego. „Związek jakucki“ został zamknięty, stowarzyszenie oświatowe — również, klub — tak samo, przedstawień teatralnych zakazano, a „Jakucki kraj“ zawieszono. Pomimo to, jak pomimo aresztowań wśród inteligencyi jakuckiej, ruch jakucki nie zanikł. Inteligencya ta wydaje obecnie pismo „Jakucka myśl“ i stara się o zorganizowanie nowego stowarzyszenia oświatowego. Nadmienić należy, że dążności młodych inteligentów jakuckich odznaczają się radykalizmem społecznym, co budzi nienawiść do nich nietylko ze strony władz rządowych, ale i bogaczów jakuckich — „tofanje“.

Proces Steinheilowej. Szpalty prasy burżuazyjnej od kilku tygodni zapełniały sprawozdania z tego procesu. W kąt poszła sprawa Ferrera, nawet o rewelacyach Izwolskiego wspomniano zaledwie, o gotującej się zbrodni w Meksyku dalekim zaledwie prasa socyalistyczna napomyka. Świat cały, czytający gazety, zajęty był i jest sprawą Steinheilowej. Nie miejsce na łamach drogocennych pisma robotniczego dawać sprawozdanie z przebiegu tego skandalicznego procesu, nie miejsce na drobiazgową analizę każdego powiedzenia tej, bez żadnej kwestyi chorej kobiety. Chodzi nam o podkreślenie społecznej strony tego procesu. Z bezwzględnością, cechującą państwa demokratyczne, Francya obnażyła rany swego ustroju społeczno-politycznego. „Rodzina“, „święte ognisko domowe“ stanęło w całej okazałości przed nami. W sferach najbardziej zamożnych, w sferach o wychowaniu i kulturze nadzwyczajnej, miały miejsce tak ohydne stosunki, tak wstrętne, nikczemne czyny, takie nieposzanowanie człowieka, że najdziksze, najbrutalniejsze sceny z życia rodzinnego ciemnego chłopa lub robotnika, mogą jaśnieć przykładem dla tej burżuazyjnej „oświeconej“ i „dobrze wychowanej“ klasy pasożytów. Najgłębiej przekonani jesteśmy, iż gdyby sprawa ta dotyczyła nie kochanki b. prezydenta republiki Faure'a, który ducha wyzionął w objęciach Steinheil'owej, gdyby sprawa ta nie dotykała mniej lub więcej całego szeregu wysoko postawionych osób w biurokracyi i świecie finansowym Paryża, gdyby szło o jakąś zwykłą niewierną żonę z ludu, na której ciążyłyby podobne poszlaki o zamordowanie męża i matki, sąd bezwzględnie potępiłby posądzoną, oddając ją w ręce „sprawiedliwości“.

Chodziło tu o prostytutkę „wyższej marki“, o prostytutkę prezydentów, ministrów, jenerałów, bankierów, sędziów i prokuratorów. Zagmatwano w początkach sprawę, uczyniono z tej afery polityczną zbrodnię, boć zależnie od polityki mieli Steinheil'a mordować to żydzi, to księża, to wreszcie terroryści. W rezultacie sprawy nie wyjaśniono i Steinheil'ową uniewinniono. — Może tedy w dalszym ciągu sprzedawać się prezydentom i innym wielkim tego świata, może nawet na swej „niewinności“ zrobić szalony interes, boć

już dziś impresaryo pewien proponuje jej skromniutką gażę 100.000 franków miesięcznie.

Proces ten pozostanie jaskrawym obrazem życia gnijącej burżuazyi i plutokracyi, pozostanie na długo ziejącą kloaką ginącego ustroju społecznego. W każdym razie należy się uznanie francuskiej sprawiedliwości, że sprawie tej nie dała zamrzeć bez śladu, jak uczyniono z podobnemi sprawami w Niemczech (proces Eulenburga) i w Belgii, nie wspominając naturalnie o Rosyi. *Edw.*

Proletaryat i walka narodowa. W Nr. 274 organu niemieckiej S. D. „Vorwärts" znajdujemy ciekawy artykuł, rzucający światło na dzisiejsze poglądy towarzyszy niemieckich na sprawę narodową. Mówi się tam o pewnym kraju, cierpiącym od obcego ucisku, co następuje:

„Rozstrzygającem w danej sprawie jest to, iż najenergiczniejsi bojownicy za prawa narodowe w danym kraju byli jednocześnie najwierniejszymi obrońcami interesów i praw proletaryatu oraz warstw silnie sproletaryzowanych. Rozwój historyczny kraju tysiąca jezior spowodował, że właśnie te warstwy ludności najsilniej są zainteresowane w utrzymaniu narodowej niezależności. Dlatego też przy wyborach do sejmu kwestya narodowa nietylko nie zasłoniła sobą przeciwieństw klasowych, ale przeciwnie, wyraźnie wysunęła je na jaw".

Przeczytawszy to, każdy pomyśli, że mowa jest o Polsce. Nie... do tego jeszcze w „Vorwärts'ie nie doszło i prawdopodobnie nie dojdzie tak prędko, pomimo całej zmiany poglądów na sprawy narodowe, zaszłej w umysłach towarzyszy niemieckich w ciągu lat ostatnich. A nie dojdzie, dopóki trzymają oni w tejże redakcyi „V." spadłych z etatu naszych esdeków. Artykuł pomieniony tyczy się Finlandyi.

Rewolucya wojskowa w Grecyi. Po Turcyi przyszła kolej na Grecyę. Przykład rewolty wojskowej, będącej wyrazem mądrej i stanowczej polityki młodotureckiego komitetu Jedności i Postępu, znalazł naśladownictwo w Grecyi. Niestety armia może czynić przewroty polityczne, o ile ma za sobą poparcie mas ludności. Tego w Grecyi niema. Tam armia jest zupełnie oderwana od ludności. Mało tego, w samej armii istnieje antagonizm głęboki między marynarką a wojskiem lądowem. Podobnie, jak w wielkiej Rosyi, armia jest terenem do ubiegania się o zaszczytne i popłatne posady dla jeneralissimusów, jenerałów, pułkowników i t. p., dla pewnej określonej grupy osób.

W Grecyi, jak w Rosyi, posady te objęła kamaryla dworska, która głupotą swoją i niewyrobieniem kompromitowała już i tak skompromitowaną armię grecką. Zawiązała się spontanicznie, jako reakcya na to, tajna organizacya oficerska pod nazwą „Liga militarna" (wojskowa), która w lipcu roku bieżącego wywołała formalny bnnt załogi ateńskiej. Oddział złożony z 450 oficerów i 2.000 żołnierzy opuścił Ateny i na modę dawnych legionów rzymskich, założył obóz w Goudi, o kilka kilometrów od stolicy. Oficerowie nie dopuścili żołnierzy do sprawowania warty obozowej. Szyldwachami tego obozu byli sami oficerowie.

Na czele „Ligi wojskowej" stanął pułkownik piechoty Zorbas, człowiek stanowczy i energiczny. W krótkim czasie zyskał sobie sympatyę Ateńczyków. W sierpniu odbyła się kilkutysięczna antydynastyczna manifestacya publiczna, która wyniosła na swych barkach Zorbasa. Zebrany w dniu 28 sierpnia parlament obradował w towarzystwie zbuntowanych oficerów. Dawny gabinet Rhallysa musiał podać się do dymisyi. Nowy prezes ministrów zgłosił radykalne projekty usunięcia wielkich książąt z armii i dymisyi jeneralissimusa. Wnioski te, steroryzowany obecnością oficerów na sali obrad, parlament przyjął ednogłośnie.

„Liga wojskowa", właściwie Zorbas, rozpoczął rządy w Grecyi.

Sprawa kreteńska, nie załatwiona według życzeń ludności greckiej, dolała oliwy do ognia. Niezadowolenie w armii wzrosło. „Lądowcy“ zarzucali tajne knowania marynarce. Marynarka czyniła odpowiedzialnymi za krach kreteński „lądowców“.

Dnia 5-go listopada porucznik marynarki Tybaldos opanował arsenał morski na Salaminie. Czyn ten oddawał w ręce buntowników olbrzymie zapasy amunicyi i 3 torpedowce, stojące na kotwicy w porcie.

W Atenach partya rządząca, a nawet i „Liga militarna“ straciła początkowo głowę. Nie wiedziano dokładnie, czego Tybaldos chce. Wkrótce otrzymano list Tybaldosa, list, w którym ni mniej, ni więcej żądał ten porucznik, by go mianowano ministrem marynarki i polecono mu ułożyć listę awansów. „Liga militarna“ odpowiedziała manifestem, w którym, odrzucając żądania czelnego oficera, insynuuje mu przekupienie przez obce mocarstwa. Równocześnie wysłano przeciw Tybaldosowi siłę zbrojną. Pancerniki rozpoczęły bombardowanie Salaminy. Po krótkiej walce, w której buntowniczy torpedowiec poszedł na dno, zginęło zaś 10 ludzi (7 ze strony rządu, 3 buntowników), Salamina przeszła w ręce partyi „porządku“. Bunt został stłumiony.

Dajemy notatkę o tej rewolcie ze względu na charakterystyczne cechy, jakiemi ona się odznacza. Historyczne bunty pretoryanów miały zawsze realny skutek — zmianę panującego. Gwardyjskie bunty w Rosyi za czasów Katarzyny równie ten skutek przyniosły. Żołnierze zawsze byli ślepem narzędziem garści jenerałów i pułkowników, bezpośrednio związanej z pretendentami na tron. Ludność przyglądała się tym zmianom z zupełnym spokojem. Powtarzamy, iż te bunty wojskowe miały organizacyę, miały naczelników, którzy pewną i prostą drogą zmierzali do celu, choćby tym celem była rzecz tak bezgranicznie błaha, jak mianowanie jakiegoś oficerka ministrem. To samo widzieliśmy w Turcyi, gdzie w dodatku zjawił się nowy czynnik: masy ludności poparły wojsko w walce o nowy porządek polityczny.

Ostatnie bunty wojskowe w Rosyi, były buntami bez żadnej organizacyi, bez planu, bez celu. Mało tego, antagonizmy oddziałowe w Rosyi, daleko silniejszą odegrały rolę, niż w Grecyi ostatnio. W Rosyi istnieje przepaść między marynarką a piechotą, między artyleryą a konnicą, między konnicą a piechotą, między kozakami a dragonami, między gwardyą a linią. Antagonizmy te znane są dobrze wszystkim tym, którzy stykali się z robotą wśród żołnierzy. Nieraz w jednem mieście (Siedlce przed pogromem) piechota była zupełnie „nasza“, kiedy dragoni (konnica) zupełnie dla nas i dla „towarzyszy w mundurach“ dostępni nie byli. Znane są wypadki strzelania jednych oddziałów wojska do drugich, wrogich sobie.

Przy ciemnocie żołnierza rosyjskiego, przy znacznym procencie pogan w garnizonach Królestwa Polskiego, przy zupełnem prawie bezhołowiu i barbarzyństwie oficerów rosyjskich, bunty wojskowe u nas należały do rzadkości nawet w okresie Odesy, Sweaborga i Kronstadtu. Zaś tam, przy zupełnym braku naczelników (boć niepoczytalnego Szmidta w rachubę brać nie można) bunty owe przy istniejących antagonizmach w armii przyszło rządowi łatwo zdusić.

Rewolucya wojskowa w Rosyi może być dziełem intrygantów — może znieść resztki „swobód“, tę szopkę zwaną „Dumą“, może Puryszkiewicza uczynić Stołypinem, Stołypina — Puryszkiewiczem, lecz spodziewać się po tej rewolucyi swobód konstytucyjnych może człek zupełnie nieświadomy lub człek złej woli. Jak w Grecyi ostatnio, armia stanie się w Rosyi igraszką intryg i ambicyj osobistych i biada tym, na których skórze bezbronnej czynione będą eksperymenty żołdackie.

Edw.

ALEKSANDER FRĘCHOWICZ.

Dnia 5-go kwietnia zmarł na suchoty w Butyrskiem więzieniu katorżniczem tow. Aleksander Fręchowicz, znany wśród towarzyszy warszawskich „dzielnicy dolnej" pod pseudonimem „Blacharza". Był on jednym z najdzielniejszych członków dawnej organizacyi spiskowo-bojowej P. P. S. Brał udział w całym szeregu akcyj terorystycznych, pomiędzy innemi w rzuceniu bomby na oddział kozacki 1-go maja 1905 roku, przed dworcem kolei warszawsko-wiedeńskiej w Warszawie, w konfiskacie węgrowskiej, w zamachu na Jankowskiego i innych. Aresztowany zdradą dnia 3. X. 1905 roku, dostał się w ręce Grüna. I oto w lutym w 1906 r. wraz ze Stanisławem Marczukiem i Janem Morawskim został w nocy przewieziony z X. pawilonu do ratusza, gdzie ich Grün poddawał torturom. Znane jest szeroko owo ośmiodniowe torturowanie tych trzech ludzi, kiedy to Koło obrony politycznych w Warszawie wysłało do Skałłona deputacyę, donoszącą o odbywających się w ratuszu torturach i domagającą się oddania Grüna pod sąd — naturalnie bez żadnego skutku. Po ośmiodniowych torturach odwieziono tow. Fręchowicza do cytadeli, poranionego, w podartem do cna ubraniu. Po torturach Fręchowicz kilka dni spał stojąc, bo położyć się nie mógł... cały był czarny jak sadze — od sińców. Do tego zarządzający X-tym pawilonem, Petrycz, nie dopuścił do tow. Fręchowicza doktora, z obawy, aby ten nie spisał protokółu.

Dnia 28 i 29 listopada 1906 r. sądzono Fręchowicza sądem wojennym, oskarżając o cały szereg aktów terorystycznych. Sąd uznał go winnym i skazał na śmierć. Ponieważ zaś akty, których dokonał, odbyły się przed 30. X. 1905 r., więc zamieniono mu karę śmierci na 15-letnią katorgę. Dnia 8-go marca 1907 r. przewieziono go z więzienia mokotowskiego do Butyrskiego, gdzie miał odsiedzieć cały termin noszenia kajdan, t. j. półtora roku. Jednakże administracya z powodu „hardości" Fręchowicza, zdjęła mu kajdany przed samą śmiercią — to znaczy, że nosił je i leżąc w szpitalu, jako ciężko chory, 2 lata 5 miesięcy!

Fręchowicz urodził się w Warszawie w lipcu 1883 r. i był jedynakiem. Staruszka matka z rozpaczy za dzieckiem dostała pomieszania zmysłów i też umarła. Fręchowicz w więzieniu marzył jeszcze o powrocie do pracy partyjnej. Mówił, że pragnąłby odzyskać wolność choć na parę miesięcy, by oddać dwie usługi P. P. S. — wówczas umierałby spokojnie.

Cześć pamięci bohatera-męczennika!

EDWARD PASZKIEWICZ.

Zmarły w Nicei w październiku r. b. tow. E. Paszkiewicz, był członkiem naszej organizacyi zagranicznej. Przystąpił on do partyi niezbyt dawno, dopiero po wyjeździe zagranicę, pod wpływem widoku orgij reakcyi rządowo kapitalistycznej w kraju naszym, reakcyi, która go przekonała o konieczności stania się socyalistą. W kraju był tylko „sympatykiem" ruchu naszego, co nie przeszkodziło rządowi prześladować go różnymi sposobami i wreszcie w r. 1907 wydalić go zagranicę. W chwili śmierci zmarły liczył lat 34, z zawodu był inżynierem dróg i komunikacyi, a do wydalenia z kraju — pomocnikiem naczelnika sekcyi w wydziale drogowym kolei warszawsko-wiedeńskiej.

Książki, nadesłane do redakcyi.

M. Markowska. Poezye. Spółka nakładowa „Książka". Kraków 1909.

W. Sieroszewski. Ze świata. Opowiadania. Spółka nakładowa „Książka". Kraków-Warszawa 1909. Cena K 5.

Dominik Fr. Ojcowizna. Sztuka ludowa w 3 obrazach. (Bibl. teatrów włościańskich Nr. 4). Lwów 1909. Cena 1 kor.

Wskazówki dla robotników rolnych, udających się do Francyi. (Polskie Towarzystwo Emigracyjne). Kraków 1909.

La Société Polonaise d'émigration, ce qu'elle est et ce qu'elle veut en France. Cracovie 1909.

Narodnoje Dieło. Sbornik III. Partja Socjalistow — Rewolucjonierow. 1909.

Rose Frank. The Machine Monster. I. L. P. Londyn 1909. Cena 1 d.

Paul dr. Eden. Socialism and Science. I. L. P. Londyn 1909. Cena 1 d.

Barnes G. N. The Unenployed Problem. I. L. P. Londyn 1909. Cena 1 d.

Zbiór pieśni. Biblioteczka popularna „Życia". Książeczka IV. Cena 20 hal.

M. Markowska. Burza. Nakładem wydawnictwa „Życie". Cena 1 K.

Kalendarz robotniczy na rok 1910. Zredagował Z. Klemensiewicz. Nakładem „Naprzodu" w Krakowie. Cena 80 hal.

A. Śliwiński. Maurycy Mochnacki. Żywot i dzieła. Nakładem księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Lwów 1910. Cena 5 K.

Obszczeje Dieło (Sprawa wspólna). Pismo wydawane pod redakcyą W. Burcewa. Zeszyt I. Paryż 1909.

Andrzej Strug. W twardej służbie. Wydawnictwo spółki nakładowej „Książka". Kraków 1906. Cena 2 K. 60 h.

I. Sprawozdanie roczne wydziału towarzystwa „Życie", stowarzyszenia polskiej akademickiej młodzieży postępowej we Lwowie. Lwów 1909.

T. Kelsall. The Trade Union Struggle. I. L. P. Londyn 1909.

J. Rule. 100 Pills for Tariff Reformers. I. L. P. Londyn 1909.

Geo. N. Barnes. Robert Burns. I. L. P. Londyn 1909.

I. Sprawozdanie Zarządu Głównego Związku teatrów i chórów włościańskich za czas od 9 kwietnia 1907 do 31 grudnia 1908. Lwów 1909.

Fr. Rawita Gawroński. Konfederacja narodu polskiego w r. 1876. Lwów 1909. Nakładem „Kuryera Lwowskiego".

Wł. Orkan. Nad urwiskiem. Wydanie drugie z dodatkiem „Listów ze wsi". Spółka nakładowa „Książka". Kraków 1909. Cena 3 K.

Dr Wł. Gumplowicz. Dzieje założenia Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki. Spółka nakładowa „Książka". Kraków 1909.

Kalendarz Robotniczy na r. 1910. Druk J. Biniszkiewicza i S-ki („Gazeta Robotnicza"). Katowice.

La fondation du parti socialdemocrate des Pays Bas. Adresse à l'Internationale éditée par la Direction du S. D. P.

Die Gründung der „Socialdemokratische Partij in Nederland" (S. D. P.). Adresse an die Internationale. Herausgegeben vom Vorstand der S. D. P. Berlin 1909.

Die Gewerkschaftsbewegung in Bulgarien. 1904—1909. Sofia 1909.

Dr L. Gumplowicz. Sozialphilosophie im Umriss. Wagner'sche Univ. — Buchhandlung. Insbruck 1909. Cena 3 K.

Paweł Louis. Dzieje socyalizmu we Francyi do 1908 r. włącznie. Przełożyła Marya Kelles-Krauzowa. Wydawnictwo spółki nakładowej „Książka". Kraków 1909.

Encyklopedya Ludowa. Kraków 1909:

Heryng Zygmunt. Jaką być winna encyklopedya ludowa?

Heryng Zygmunt. Co da encyklopedya ludowa robotnikom i włościanom?

Daszyńska-Golińska dr. Zofia. Z czego powstaje pijaństwo i jak z niem walczyć?

Bujwidowa Kazimiera. Czy kobieta powinna mieć te same prawa, co mężczyzna?

Turczynowicz S. Jak osuszać za mokre i jak nawadniać za suche grunty?

SPRAWOZDANIE RACHUNKOWE WYDZIAŁU ZAGRANICZNEGO P. P. S.

za półrocze od 1/IV do 30/IX 1909 r.

PRZYCHODY.

Podatek partyjny	293·31
Składki na cele partyjne	3317·25
Na więźniów i emigrantów składki	71·85
„Przedświt" — sprzedaż i prenumerata po za obrębem zaboru rosyjskiego	634·21
Książki i broszury — sprzedaż po za obrębem zaboru rosyjskiego	2934·92
Z kasy C. K. R. P. P. S. — subwencya	4931·50
K.	12183·07

ROZCHODY.

Wydatki organizacyjne i administracyjne		4031·28
Na emigrantów wydatki		878·46
„Przedświt“:		
Honorarya	2737·96	
Druk, papier i ekspedycya (z wyjątkiem ekspedycyi do zaboru rosyjskiego)	2113·18	4851·14
Książki i broszury:		
Własne nakłady	1347·04	
Zakupno innych nakładów	645·12	
Ekspedycya itp. (z wyjątkiem ekspedycyi do zaboru rosyjskiego)	430·03	2422·19
	K.	12183·07

Pokwitowania Wydziału Zagranicznego P. P. S.

za czas od 23/IX do 20/XI 1909 r.

Podatek partyjny: Kraków — 102 kor. 80 hal., Nesselsdorf (S. M.) — 4 kor., Zurych 3 kor. 32 hal., Praga — 5 kor., Zakopane — 35 kor., Liège — 33 kor. 43 hal.

Składki rewolucyjne: Kraków P. D. na w. czyn. — 3 k. 34 hal., Brema — L. J. Krachuletz l. nr 189 na f. ag. — 10 m. 50 fen., na w. cz. 1 m. 50 fen., razem 13 kor. 55 hal., Kraków l. n. n. dr. nr 37 — 1 kor. 40 hal.

Na więźniów i emigrantów: Brema L. J. Krachuletz lista nr 190 — 19 m. 80 fen., czyli 23 kor. 40 hal.

Numer styczniowy zawierać będzie spis artykułów, pomieszczonych w roku ubiegłym, oraz kartę tytułową.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Tadeusz Bobrowski.